3 1761 08120358 0

Müldner, Henryk
Szkice z podrozy po Slowacyi

DB
669
M85

Purchased for the

LIBRARY *of the*

UNIVERSITY OF TORONTO

from the

KATHLEEN MADILL BEQUEST

SZKICE
Z PODRÓŻY PO SŁOWACY

z dodaniem krótkiego przewodnika

skreślił

Henryk Müldner.

Służmy poczciwéj sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże!
KOCHANOWSKI.

Dochód ze sprzedaży tego dziełka przeznaczony na cele Tow. Tatrzańskiego.

W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU"
pod zarządem J. Łakocińskiego.
1877.

PRINTED IN THE NETHERLANDS

Wielmożnemu Panu
Maksymilianowi Zatorskiemu
Profesorowi uniwersytetu tegoż
w dowód wysokiego szacunku i poważania
od autora.

SZKICE Z PODRÓŻY PO SŁOWACYI.

SZKICE
Z PODRÓŻY PO SŁOWACYI

z dodaniem krótkiego przewodnika

skreślił

Henryk Mildner.

Służmy poczciwéj sławie, a jako kto może,
Niech ku pożytku dobra spólnego pomoże!
KOCHANOWSKI.

Dochód ze sprzedaży tego dziełka przeznaczony na cele Tow. Tatrzańskiego.

W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU"
pod zarządem J. Łakocińskiego.
1877.

DB
669
M85

Osobne odbicie z „CZASU.“ — Nakładem Autora.

Jaśnie Wielmożnemu

PANU

MAURYCEMU MANNOWI

Komandorowi orderu św. Grzegorza,

Redaktorowi „Czasu,"

Członkowi Akademii Umiejętności w Krakowie,

AUTOROWI DZIEŁA „PODRÓŻ NA WSCHÓD"

pragnąc okazać głęboką cześć i poważanie

pierwszą swą pracę

poświęca

Henryk Muldner.

Digitized by the Internet Archive
in 2010 with funding from
University of Toronto

http://www.archive.org/details/szkicezpodrypo00ml

SŁOWO WSTĘPNE.

Rozciągająca się na południowym stoku Karpat dziedzina Słowaków jest jeszcze tak mało znaną i opisaną krainą, iż, zdaniem mojem, śmiało nazwać ją można *terra incognita* A jednak są tam okolice, które co do uroczej piękności widoków przyrody wcale nie ustępują najpyszniejszym zagranicą, tak, że słusznie dziwić się wypada, dlaczego dotychczas nikt nie zajął się dokładnem zbadaniem tej zewszechmiar ciekawej krainy. Celem wskazania turystom niektórych malowniczych i zajmujących widoków Słowacyi, wydaję niniejszy opis krótkiej, bo zaledwie dwutygodniowej podróży; może zachęceni moim przykładem znajdą się inni turyści lub badacze przyrody, którzy temu jakby zapomnianemu krajowi swą uwagę poświęcą.

Do najprzyjemniejszych a zarazem pouczających wycieczek, połączonych z niezbyt wielkiemi kosztami, należy niewątpliwie podróż do węgierskiej Słowacyi. Jest tutaj tyle piękności i cudów przyrody, tyle malowniczych krajobrazów do widzenia, iż zaiste dziwić się należy, dlaczego ten zakątek ziemi dotychczas nie został jeszcze dokładnie zbadanym i opisanym. Tembardziej zaś ta okoliczność musi każdego uderzyć, skoro na brak komunikacyi uskarżać się nie można, bo wszędzie w tych stronach koleją lub wozem połączenie łatwe. Niniejszy opis skreślony w krótkości, ma tylko na celu zwrócenie uwagi na niektóre piękne okolice Słowacyi, leżącej w naszem sąsiedztwie, a temsamem i zachęcenie do licznego ich zwiedzania.

Główną arteryę przerzynającą kraj słowacki stanowi kolej Koszycko-Bogumińska, rozciągająca się od Bogumina (Oderberg) do Koszyc (po niem.

Kaschau, po węgiersku Kassa *) na 351 kilometrów długości. Jestto kolej łącząca bezpośrednio Niemcy z Węgrami, dlatego też nią teraz corocznie bardzo wielu turystów Niemców, szczególniej z pobliskiego Pruskiego Szlązka, do Tatr się wybiera. Nie myślimy rozpisywać się tutaj o ślicznych okolicach, które kolej ta przez pięć hrabstw z rzędu przebiega; wystarczy tylko wzmianka, że co do różnych malowniczych i uroczych krajobrazów zmieniających się co chwila jak w kalejdoskopie, kolej ta niezawodnie pierwszą jest w państwie austryackiem po Semmeringu a na przebywającym ją po raz pierwszy niezatarte robi wrażenie. Opuszczając więc podróż koleją, wolimy natomiast odrazu przystąpić do opisu sympatycznej stolicy Słowaków.

Stolica Słowacyi, Mikulasz (po słowacku Svati Mikulasz, po węgiersku Liptó-Szent-Miklós) położona w uroczej dolinie nad Wagiem, dokoła otoczoną jest górami, mianowicie odgraniczają ją na

---

*) W języku węgierskim s i ss wymawia się jak nasze sz; sz jak s; cs jak cz; cz jak c; gy jak dj; zs jak ż; v jak w; ch jak cz. A więc pisząc Liskovà czytamy Liszkowa; Kassa — Kasza; Szent — Sent (święty); Lucsivna — Lucziwna; Debreczin — Debrecin; Nagy — Nadj (wielki); Rózsahegy — Rożahedj; Dovalov — Dowalow; Pechy — Peczi.

północ Wielki Wierch (Velki Vrch 6,900' n. p. m.), Szeroki Wierch (Sziroki Vrch 6,500) i Palki; na południe Południca (Poludnica 4,896'), Jaworowa i Uhliszcze *) (4,932') na zachód Chocz (Chocs 5,100') a na wschód tak zwane Liptowskie Tatry. Miasteczko to liczące 1,820 mieszkańców, trudniących się przeważnie handlem, sprzedażą win i pędzeniem spirytusu, porządnie jest zabudowane, ma szerokie wygodne ulice i obszerny kwadratowy rynek; w środku rynku stoi tak zwany *Comitatshaus*, okazały gmach zbudowany za Józefa II r. 1780, gdzie jest siedziba żupana, vice-żupana i innych wyższych urzędników hrabstwa Liptowskiego. Prócz tego znajduje się w miejscu kościół katolicki, protestancki i bożnica żydowska; wszystkie te wyznania mają także swoje oddzielne cmentarze.

Warto zwiedzić i dokładnie obejrzeć starożytny kościół katolicki, znajdujący się w bocznej uliczce od rynku, a założony pod wezwaniem św. Mikołaja, patrona miasta (svati Mikulasz znaczy święty Mikołaj.) Kiedy właściwie ten kościół założo-

*) Te dwa szczyty oznaczone są na mapie sztabu wojskowego jako *Javorina* i *Uhlisko;* są to fałszywe nazwy, gdyż na miejscu lud nazywa je *Jaworowa* i *Uhliszcze,* te nazwy więc jako właściwe przyjmujemy. *(P. A.)*

nym został, nie umiał oprowadzający nas dokładnie oznaczyć; sądzimy jednak, że erekcya datować może od 13go wieku. Przemawiałby przynajmniej za tem twierdzeniem napis umieszczony na zewnętrznej ścianie kościoła a brzmiący następnie: *Haec domus Dei renovata erat anno Domini 1469, iterum 1725, deinde 1732, tandem 1828.* Jeżeli więc restauracya kościoła nastąpiła po raz pierwszy w r. 1469, przypuścić trzeba, że mógł już stać 150 do 200 lat. W głównym ołtarzu znajduje się obraz św. Mikołaja, po bokach statuy dwóch św. biskupów rzeźbione z drzewa, nie przedstawiające jednak wielkiej wartości. Natomiast dwa boczne ołtarze godne dokładnego obejrzenia. Jeden z nich po lewej ręce, szafiasty, cały z drzewa, przedstawia w środku Matkę Boską z dzieciątkiem Jezus na ręku, po obu bokach zaś umieszczone są święta Barbara, Katarzyna, Elżbieta i czwarta święta niewiasta, której nie mogliśmy rozeznać. Wszystkie te figury są pięknie z drzewa rzeźbione, a układem swoim i wykonaniem przypominają roboty naszego mistrza Wita Stwosza. Wysokość figury Matki Boskiej dochodzi 1 ½ metra, drugie zaś figury są około 60 ctm. wysokie. Na wewnętrznych odrzwiach tego ołtarza są wspaniałe i doskonale zachowane malatury, przedstawiające po lewej stronie Zwiastowanie N. Ma-

ryi Panny i Narodzenie Chrystusa, po prawej Spotkanie Maryi z Elżbietą i Pokłon trzech króli. Wszystko to malowane na tle złotem, o ile z ubiorów ocenić można, pochodzi ze staroniemieckiej szkoły, podpisu jednak lub też jakiego monogramu artysty nie ma śladu. Drugi ołtarz po prawej stronie ma obrazy z tegoż samego czasu pochodzące i również doskonale zachowane; są tu po bokach św. Piotr, św. Jerzy i dwaj inni jacyś święci. W środku znajdujący się obraz św. Jana Nepomucena jest lichą robotą wiejskiego artysty. W zakrystyi pokazywano nam kilka ślicznie haftowanych ciężkich ornatów, z tych jeden zrobiony przed 400 laty, następnie dwa piękne kielichy, jeden srebrny pozłacany z r. 1730, drugi złoty z r. 1822, wreszcie figurę drewnianą około 80 ctm. wysoką, przedstawiającą św. Mikołaja, która ma pochodzić z czasów założenia kościoła. Jakiś profesor Węgier z Koszyc, który niedawno ten kościół w celu archeologicznych poszukiwań zwiedzał, zdrapawszy tynk przy głównym ołtarzu natrafił na zrobiony alfresko widok kościoła z dawnych wieków. Organy są o dwóch piętrach; w niższem śpiewają nabożni, w drugiem zaś umieszczone są organy.

Prócz tego kościoła był tu dawniej obszerny klasztór Pijarów; lecz ten prawdopodobnie za Jó-

zefińskich czasów zniesiony, służy obecnie za sąd i więzienie przestępców. W miejscu znajduje się także urząd telegraficzny i pocztowy, dwie apteki i aż 6 lekarzy — jak na tak małe miasteczko liczba tychże zdawałaby się zbyt wielką, nie trzeba jednak zapominać, że do ich obrębu należą także wszystkie okoliczne wsie. Dla przejeżdżających obcych, którzy tutaj krótszy lub dłuższy czas zabawić myślą, można sumiennie polecić hotel *zum schwarzen Adler*, gdzie podróżni za tanie pieniądze porządne mieszkanie i utrzymanie znajdą. Za pośrednictwem dzierżawcy hotelu p. Weisera można zamówić każdej chwili powozy do przejażdżki celem zobaczenia okolicy, mianowicie lekkie górskie wózki na 3 osoby za cenę 5 złr. na cały dzień, a 3 złr. na pół dnia. W ogóle potrzebnych informacyj chętnie p. Weiser na miejscu udzieli.

Obeznawszy czytelników z tą maleńką stolicą Słowacyi, poprowadzimy ich teraz w pobliższe okolice, a przedewszystkiem do słynnych jaskiń Demanowskich. Chcąc jednak mieć dokładne wyobrażenie o tych niepojętych cudach Boskich, przed któremi człowiek jak nędzny robaczek maleje i ukorzyć się musi przed Wszechmocnym, trzeba koniecznie samemu przybyć na miejsce i podziwiać Stwórcę w jego dziełach. Wszelkie opisy, choćby nawet detaliczne n. p. wydane przez

Schernera, Szepeshazego i Thielego, Sydowa, Jennego i innych nikną zupełnie wobec rzeczywistości. Jedno tylko słówko niech nam będzie wolno wypowiedzieć, zanim przystąpimy do właściwego opisu.

Nemo propheta in patria — to przysłowie sprawdza się niestety nietylko na samych ludziach, ale także na wspaniałych krajobrazach i widokach, w które obfituje Słowacya. Krajowcy nie znają się na podobnych pięknościach lub bardzo liche o nich mając wyobrażenie, wcale ich nie są ciekawi. Trzeba dopiero obcych, ażeby zwrócili na to uwagę i pociągali za sobą tutejszych mieszkańców. Na dowód przytaczamy tutaj okoliczność, że zapytawszy się Mikulaszanów o dwie mniejsze jaskinie Okno i Benikowa, położone w pobliżu wielkiej groty Demanowskiej, niemniej o źródło rzeczki Demanowy, nie umieli nam objaśnić, czy i gdzie się znajdują. Wiadomość o tych dwóch jaskiniach i źródle wyczytaliśmy z wielkiem zajęciem w dawniej wyszłych i dziś już rzadkich dziełach: *Schmidl, Reisehandbuch durch das Königreich Ungarn, Wien 1835,* niemniej *Szepesházy & Thiele, Merkwürdigkeiten des Königreiches Ungern, Kaschau 1825.* Będąc więc raz na miejscu, koniecznie pragnęliśmy wszystko dokładnie obejrzeć.

Zamówiwszy więc lekką furkę, ruszyliśmy w dro-

gę o godzinie 9 zrana, zaopatrzywszy się dostatecznie w żywność, gdyż na miejscu prócz wody i świeżego powietrza niczego nie dostanie a powrót do domu dopiero wieczorem nastąpi. Droga prowadzi nas na małe miasteczko (*Marktflecken*) Wierzbicę (Vrbica po węg. Verbicze) położone tuż obok Mikulasza. Mieszkańcy po największej części protestanci, zatrudniają się płóciennictwem i handlem wina. Przejeżdżając koło kościoła spostrzegamy przed wchodem obok przytykający dziwny jakiś budynek z żelaznemi szczelnie zamkniętemi drzwiami i takiemiż oknami, coś nakształt naszych lamusów. Na zapytanie, do czego to ma służyć, odpowiada furman Słowak, że w takich budynkach przechowuje się starannie archiwum kościelne i rodzinne dziedziców. Niemal wszystkie kościoły posiadają takie archiwa, w których do historyi Węgier i ościennych krajów, a więc i Polski, niezawodnie liczne i ważne dokumenta wynaleźćby się dały. Koło parowego tartaku przebywając szumiący Wag na porządnym drewnianym moście, skręcamy na prawo drogą polną ku zachodowi, zostawiając po za sobą dominującą nad Mikulaszem poważną Południcę. Przed nami ukazuje się wioska Paludza, zdala świeci biała wieżyca kościoła, ale nie tędy nas droga prowadzi. Ciągle chociaż nieznacznie wznosi się wzgó-

rze, tak, że zostawiwszy wieś Demanową (Demanfalva) w dole przybywamy wreszcie o godz. $10^3/_4$ do gajowego Franciszka Miszury, który ma nam za przewodnika do jaskiń służyć. Posiliwszy się cokolwiek na prędce, bo już niecierpliwość w pięty pali, i oddawszy przewodnikowi pochodnie z Mikulasza przywiezione a furmanowi pled, rewolwer i nieco żywności na posilenie, idziemy do skał pod górę. Nie potrzebowaliśmy się zbyt daleko, ani wysoko spinać, bo o godzinie $11^1/_2$ jesteśmy już przed wchodem do jaskini. Tu są ławeczki zrobione — wytchnijmyż więc trochę, aż się płuca uspokoją, bo tam na dole zimno lodowate może nierozważnego na bardzo smutne następstwa narazić. Odpocząwszy i wziąwszy na siebie ciepły pled wchodzimy w przedsionek jaskini, zmierzywszy jednak poprzednio główne wejście. Jest ono z natury kabłąkowate, wysokość w środku wynosi $1^1/_2$ metra, a szerokość $2^1/_2$ metra. Teraz zapaloną pochodnię w jednej ręce, w drugiej zaś podkutą laskę górską — i w imię Boże naprzód w tę podziemną otchłań!

Przed nami przewodnik, za nami furman, wszyscy z pochodniami w ręku, tak postępujemy milcząco na dół po schodkach drewnianych, zaopatrzonych w poręcze, jakie kilkadziesiąt stóp w głąb jaskini. Wreszcie schody się skończyły, a my

teraz idziemy powoli po twardej ziemi, którą od czasu do czasu spadająca kropla zwilża; słychać nawet wyraźnie, jak te krople z góry na ziemię kapią. Dalej odbywa się wędrówka znów po kamieniach i zwaliskach lub odłamkach stalaktytów — wtem odzywa się przewodnik: *Hlawu uhnut'!* (głowę zgiąć, schylić się), gdyż droga tak się zwęża, iż trudno przejść bez potrącenia głową o sterczące wszędzie i jakby wzbraniające dalszego pochodu stalaktyty. Wszędzie podziwiamy zachwyceni te wspaniałe cuda przyrody, niewiedzieć jednak, gdzie pierwej spojrzeć, czy na lewo, czy na prawo, czy w górę — bo wszędzie taka rozmaitość, taki przepych, taki ogrom stalaktytów i stalagmitów, iż formalnie oko błądzi i tylko tu i owdzie na chwilę zatrzymać się może.

Przeszedłszy kilka takich sal wysokich jak domy, przewodnik wskazuje ręką na prawo. A to co? wszakże to istna żona Lota, zamieniona w słup, ale nie soli, lecz lodu! Kilka jeszcze kroków dalej, a stajemy jak wryci w miejscu — w samym środku drogi zdumione oko nasze spostrzega olbrzymi filar cały z lodu, który od góry aż na dół sięga! Jeszcze dalej stąpając po wydrążonych w lodzie stopniach, widzimy z boku w skale prześliczny wodospad cały zamarznięty —

i tak na każdym kroku nowe niespodzianki, nowe dziwy, czary, cuda! —

Zaprędko niestety skończył się ten region lodowaty, bo tylko w tej jednej grocie na całym obszarze jaskini wytwarza się lód — znów w dalszej wędrówce brzmi głos przewodnika: *Hlawu uhnut'* — a po chwili przeszedłszy po kamienistym gruncie, jesteśmy w ogromnej pysznej świątyni, tak wielkiej i wysokiej, żeby niezawodnie nasz kościół Maryacki w nim się wygodnie zmieścił. Tu nas chwyta przewodnik za rękę: *Strelajtie panie!* — nabiwszy więc sześciostrzałowy rewolwer, palimy z niego raz po razu. Ponieważ przestrzeń przed nami prosta i daleko się rozciągająca, nie tamowana rozpadlinami ani bocznemi drogami, przeto też odgłos rzeczywiście był strasznie pięknym; zdawało się, że cała opoka runie nad naszemi głowami, aby się zemścić na nas, że jej odwieczną ciszę przerywamy. Idąc dalej, przypatrujemy się z podziwem prześlicznym formacyom stalaktytów i stalagmitów, które na każdym kroku spotykamy; rzeczywiście nie potrzeba zbyt bujnej wyobraźni, aby wymarzyć sobie i przedstawić w duchu najrozmaitsze przedmioty. Tu masz ogromne organy, któreby niezawodnie słynne z wielkości erfurckie za sobą zostawiły; dalej dziwnego kształtu słupy, to znów

wieżyce wystrzelające w górę, piramidy, obeliski, wodospady, groty i t. p. Prawdziwy to labirynt, w którymby całemi dniami błądzić i ciągle nowe piękności odkrywać można!

Dochodząc już do końca naszej wędrówki, znajdujemy w jednem miejscu jaskini, ale tylko tem jedynem, dziwnego kształtu kuleczki uformowane z okapów ze ścian. Są to tak zwane perły jaskiniowe *(Höhlenperlen)*, które się jednak nie we wszystkich jaskiniach znajdują. Nieopodal ztąd ścieka woda lodowata do maleńkich, z natury utworzonych basenów; jest ona wprawdzie zimna, lecz smak ma deszczówki.

Dobre półgodziny szliśmy jednakowym krokiem przez całą jaskinię, to po równej drodze, to znów na dół schodząc, zanim dotarliśmy do jej końca. Myślicie zapewne, że na tem bagnie, do którego śmy się dostali, rzeczywiście już kończy się jaskinia? Gdzieżtam! daleko do tego — ona się jeszcze ciągnie z pół godziny, jeżeli nie więcej, jak okoliczni mieszkańcy zapewniają, tylko zbadać tego dokładnie nie można, bo miękkie bagno, w którem grząznąć trzeba po kostki, a może i po brzuch, stoi temu na zawadzie. Sydow pisze wprawdzie*), że w r. 1819 księżniczka Pszczyńska

*) Zobacz jego dzieło *Centralkarpathen* str. 314.

wdziawszy na siebie palone buty, weszła dość daleko w to bagno czyli glinę i wypisała na jednej ścianie swe nazwisko — lecz wątpić należy, czy dzisiaj chciałby kto tę sztukę powtórzyć, bo ta glina posiada zdradliwą własność, że człowiek coraz głębiej w niej grzęźnie, tak, iż trudno się potem ztąd wydostać.

To *bahno*, jak je okoliczni Słowacy nazywają, wybierają oni i używają do budowli jako glinę.

Oglądnąwszy wszystko, co tylko warte było widzenia, jak najdokładniej, wróciliśmy na górę, lecz po części odmienną drogą, bo dla rozmaitości innemi pobocznemi grotami. W kilku miejscach można widzieć zapisane nazwiskami stalaktyty, lub też wypalane pochodniami. Między innemi przeczytaliśmy przypadkiem napis: *Antonius Páaly 1767* — byłoby to zatem dowodem, że jaskinia Demanowska znana już jest więcej niż od stu lat.

Wyznać jednak musimy, że przykre sprawiło na nas wrażenie swawolne niszczenie i łamanie stalaktytow bez żadnego celu, których resztkami i odłamkami cała ziemia jest zasypaną. Każdy zwiedzający jaskinię, znajdzie na ziemi wszelakiego kształtu stalaktyty do wyboru, gdyż rosnąc do pewnego okresu czasu, ciężarem swoim przygniecione same się odłamują — na cóż więc nie-

potrzebnie niszczyć te dziwne utwory przyrody, nad któremi ona przez wieki pracowała!

Nie wiadomo, jaka jest rozległość tej wspaniałej jaskini, gdyż nikt jej dotychczas nie mierzył, ani też nie zbadano jej wnętrza ze stanowiska naukowego. Możnaby tutaj ciekawe spostrzeżenia zrobić nad temperaturą różnych grot, co nam jednak nieopatrzonym w potrzebne instrumenta było niemożebnem. Tyle tylko powiedzieć można, że w opisanej poprzednio lodowej jaskini temperatura dochodziła mniej więcej + 2° R.

Podobno dawniej lud okoliczny znajdywał w jaskini mnóstwo kości olbrzymich zwierząt przedpotopowych i dla tego też nazwał ją *Czierna hola* czyli smoczą jamą. Niepodobna się dziś o tem przekonać, gdyż chcąc kopać w ziemi, trzebaby we wielu miejscach odsunąć nawalone gruzy stalaktytów, co się dla zbyt znacznych kosztów wcale nie opłaci.

Czierna hola należy do właścicieli wsi Demanowy pp. Kubin i Povolny, którzy wybierają z lodowej jaskini czysty jak kryształ lód i rozsyłają całemi wagonami do Wiednia i Pesztu. Mimo tego ubytku nie znać, gdyż ciągle nowe formacye się tworzą. *) Pierwsze zejście do jaskini, prowa-

*) Ale dlaczego tylko w tej jednej grocie tworzy

dzącej dość stromo na dół, które dawniej zasypane było gruzami odłamów skał, teraz opatrzone jest w drewniane schody z poręczą, tak, że całkiem bezpiecznie na dół dostać się można. Z tego powodu nietylko panie, lecz także dorosłe dzieci śmiało odważyć się mogą na tę wędrówkę w podziemnych krainach, tak nęcących do siebie powabem i rozmaitemi niewidzianemi cudami. Tem-

---

się lód, a nie w całej obszernej jaskini Demanowskiej?— To ciekawe zjawisko przyrody objaśnia znany geolog i badacz Karpat Sydow następnie: Na sklepienie tej środkowej groty, w której się tworzenie lodu odbywa, działają silnie promienie słoneczne w lecie a ponieważ w gorących dniach letnich powietrze bardzo jest suche, przeto powstaje przez działanie promieni słonecznych mocne parowanie części wodnych znajdujących się w ziemi po nad grotą. Tym sposobem ziemi tej odciągnięte zostaje ciepło i następuje raptowne oziębienie cienkiej powały skalistej, ponieważ ani przytykające na dole skaliska, ani nizka temperatura samej jaskini uleciałe ciepło tak szybko zastąpić nie mogą. Wznoszące się więc z dołu wapory wodniste rozkładają się za dotknięciem sklepienia jaskini i zamieniają się w lód. Jeżeli w jakiej chłodniejszej nocy parowanie nie tak szybko się odbywa a sklepienie od przylegających skalisk znów ciepła nabierze, wtedy skorupa lodowa zaczyna topnieć a spływająca woda ciecze z niej na dół. Gdy jednak ze sklepienia w najbliższym pogodnym dniu

bardziej zaś polecamy paniom zwiedzenie jaskini, gdyż nie grozi im tu żadne niebezpieczeństwo a wyjąwszy dwóch lub trzech miejsc, gdzie lekko schylić się potrzeba, nigdzie człowiek na czworakach nie plezie. Wystarczy przytoczony powyżej przykład, dany paniom przez księżniczkę Pszczyńską, prócz tego nie zawadzi nadmienić, że w towarzystwie Schernera znajdowały się r. z. cztery damy.

Grota Demanowska nabiera teraz coraz większej a zasłużonej sławy i zewsząd zbiegają się turyści, aby ją obejrzeć. Wedle księgi, utrzymywanej przez

---

znów raptownie ciepło uszło, wtedy tworzą się z kropli wodnych sople lodowe, które podczas lata tak długie i silne się stają, że w kształcie słupów aż na sam dół jaskini dochodzą i także tutaj wielkie bryły lodu tworzą. Jeżeli zaś w jesieni i z nadejściem zimy ustaje silne działanie promieni słonecznych a tem samem i raptowne waporyzowanie, wtedy lód zamienia się znów w płynną wodę. Tym też sposobem objaśnia się ciekawe zjawisko tworzenia się lodu w lecie a topnienia tegoż w zimie. Wskutek tego temperatura w jaskiniach jest w lecie chłodną lub nawet zimną (jak w jaskiniach lodowych), a w zimie przeciwnie ciepłą, tak, że niektóre zwierzęta, niemogące znieść mrozów, jak niedźwiedzie, lisy, sowy, nietoperze i t. p., w jaskiniach bezpieczne legowisko zimowe znajdują.

gajowego celem zapisania nazwisk odwiedzających, było tutaj do 12 sierpnia b. r. 120 turystów. Mimo szukania za polskiem nazwiskiem pochodzącem z Galicyi lub innych części Polski, nic nie można było odnaleźć. Zdaje się zatem, że nas pierwszych spotyka zaszczyt, abyśmy na to miejsce jak pierwsi pionierowie amerykańscy drogę naszym ziomkom wskazali i utorowali.

Wyszedłszy na górę z jaskini i posiliwszy się nieco, idziemy dalej zwiedzić następną jaskinię Okno. Wierny pies gajowego, Zahraj (Zagraj), nieopuszczający swego pana ani na krok, idzie przed nami, jakby wskazując nam drogę. Znów lekko okrążając górę bez znacznego natężenia, stąpając ciągle po kamienistej krawędzi, przyszliśmy za mały kwadrans do tego Okna. Grota ta znajdująca się w górze Benikowa zasługuje rzeczywiście na tę nazwę, gdyż wejście około $2^1/_2$ metra wysokości a 3 metry szerokości, tworzy formalne okrągłe okno. Tu już trudniejsza przeprawa, niż w Czierney holi. Zejść trzeba po prostu na smreku, którego konary za szczeble służyć muszą — zatem trochę gibkości i gimnastyki wcale nie zawadzi. Grota dzieli się na dwie części; po prawej ręce tak się skaliska zniżają, że trzeba zrzucić pychę z serca i na czworakach kawałek przepełzać. Stanąwszy na nogi, widzimy, iż już koniec

groty, bo lita skała przed nami broni dalszego przejścia. W górę patrząc spostrzegamy wysoką rozpadlinę kończącą się w dziwny czubek lejka jakiego. Okno co do wielkości nie mogące iść wcale w porównanie do Czierncj holi, jest zupełnie suchą jamą bez żadnych stalaktytów. Znaleźliśmy tutaj w dwóch miejscach świeżo rozkopaną ziemię, szczątki zbutwiałych desek i kawałki ze zgruchotanego glinianego naczynia. Przewodnik objaśnił nam, że niedawno był tutaj pewien profesor z Pesztu, który poszukiwał archeologicznych zabytków — lecz nic nie znalazł. Dawnemi czasy wedle twierdzenia przewodnika mieli się w Oknie ukrywać zbójcy (po słow. zbojnicy); rzeczywiście mogło tu być dla nich wcale dobre schronienie, jeżeli wejście do jamy niedostępnemi zaroślami było zakryte. Scherner o tej i następnej grocie ani o źródle nic nie wie; Sydow wzmiankę tylko czyni, że istnieje, ale tam wcale nie był; obaj zaś poprzednio wzmiankowani autorowie, Szepeshazy i Thiele, powiadają *), że znaleziono tutaj oprócz innych nadzwyczajnie wielkich kości przedpotopowych zwierząt, także dwie olbrzymie czaszki, z przodu ostro zakończone, z wielkiemi grubemi a tępemi zębami. Przewieziono obie do ce-

*) Zob. tom I, str. 41 wyżej wymienionego dzieła.

sarskiego gabinetu przyrodniczego w Petersburgu, gdzie je Thiele później widział.

Z Okna schodząc cokolwiek na dół, a potem znów krawędzią pnąc się lekko w górę, przychodzimy za 10 minut do trzeciej jaskini Benikowy. Nazwa ta pochodzi od góry, w której grota się znajduje. Benikowa odznacza się szczególnie tem od poprzednich, że nie prowadzi na dół, lecz w prostym kierunku się rozciąga; wejście obszerne i wygodne, cała sucha także bez stalaktytów. Cokolwiek dłuższa od poprzedniej i znacznie szersza służy za nocleg pasterzom i owcom podczas pory letniej. Z cystern utworzonych przez przyrodę z kapiących kropli stalaktytów, których to cystern ma być kilka (wspomina o tem Szepeshazy) nie znaleźliśmy ani śladu; może dawniej istniały, lecz zczasem powysychały. Natomiast znajdują się tutaj na ziemi obok zielonym mchem zarośniętych kamieni jakieś małe muszki, których rozróżnienie, do jakiego rodzaju należą, przyrodnikom z powołania pozostawić musimy.

Szczęśliwie więc obejrzeliśmy trzy jaskinie — teraz do czwartej i ostatniej a zarazem do źródła. Nasz poczciwy Miszura komenderuje na dół a zstępując po odłamach skał bez żadnego wypadku, bo droga nie jest stroma, jesteśmy w dolinie. Pyszna ta Demanowska dolina! Po lewej

i prawej stronie ciągną się wspaniałe skały, obrośnięte ciemnozielonemi jak świece prosto w górę wystrzelającemi smrekami, w dole zaś huczy pieniąca, bystro po kamieniach i wielkich głazach tocząca się Demanówka. Gdziekolwiek się obrócisz, wszędzie nowe malownicze widoki uderzają twoje oko — a tam w górze, patrz, w stromej skale znów jakaś pieczara, dalej trochę niżej druga, wreszcie jeszcze trzecia! Tu już ani mowy dostać się do nich — trzebaby najprzód przemienić się w ptaka, bo innej rady na to nie ma. A któż wie, czy tam wewnątrz w głębi niema jakich nowych cudów, które dopiero co widziane w tyle za sobą zostawić mogą!

Blizko trzy kwadranse maszerujemy w dolinie, wreszcie zbliżamy się do celu. Po naturalnej kładce z kamieni przechodzimy Demanówkę, jeszcze kilkadziesiąt kroków pod górkę — i otóż stoimy przed jaskinią. Jaskinia ta zowie się po słowacku *Vodi Vivjerania* (osobnej węgierskiej ani niemieckiej nazwy nie ma i pewno mieć nie będzie); po drodze już przemyśliwaliśmy, co ta nazwa ma oznaczać, wreszcie szczęśliwie trafiliśmy na trop — nie może to być nic innego jak tylko nasze wywierzysko czyli źródło! I rzeczywiście owe przypuszczenie nie omyliło nas. Pieczara ta ma obszerne i wygodne wejście i roz-

ciąga się w prostym kierunku dość daleko; tuż przy wchodzie na lewo znajduje się mała rozpadlina, w której widać wypływającą lecz wkrótce w podziemiach znikającą wodę czystą jak kryształ. Lecz naraz wstrzymujemy zdziwieni nasze kroki — słyszymy dziwny jakiś głuchy szelest, jakby parowa machina pracowała. Czy tu w pobliżu jaka fabryka stoi?! Tak jest, istnieje fabryka, której jedynym kierownikiem od wieków sam jeden wszechmocny Stwórca! Ten huk sprawia woda, która nad naszemi głowami szumi ukryta całkiem między skaliskami, tak, że ją wprawdzie słyszymy, ale nie widzimy. Jakież to dziwne uczucie sprawia na zwiedzających, jakież to cudowne, wspaniałe i wzniosłe! W oczach naszych ciemna pieczara staje się domem Bożym, w którym upaść tylko na kolana i wielbić Pana nad pany w Jego olbrzymich niedościgłych dziełach!

Kilka kroków dalej napotykamy dziko poszarpaną obszerną rozpadlinę, z której woda także pod ziemię odpływa; straszna tu głębia, o której można się przekonać, rzuciwszy kamień do wody, która długi czas bulkocze, zanim kamień dna dosięgnie. Przez tę rozpadlinę prowadzi kładka do dalszych czeluści jaskini. Niestety, zastaliśmy ją widocznie przez silny napływ wody zerwaną, tak, że nie podobna było przeprawić się na dru-

gą stronę. Niezmiernie żałowaliśmy, że dalsza wędrówka po jaskini została nam prawie przed nosem zamkniętą. A rzeczywiście wielka szkoda, gdyż sądząc z tego, cośmy na początku pieczary widzieli, przypuścić można, że w dalszej wędrówce wewnątrz różne jeszcze dziwy nas czekają. Jak to niemożna na ślepo wierzyć opisom, lecz wszystko trzeba zbadać osobiście i dokładnie na miejscu. Szepeshazy powiada *), że ta jaskinia prócz przepływającego tamże potoku nie przedstawia zresztą nic osobliwego, Sydow zaś **), że odznacza się obszernością i ma kilka podziemnych jezior i potoków. Wprawdzie ani jeden, ani drugi tam nie był, wolimy jednak wierzyć Sydowowi, zobaczywszy jedną część tylko jaskini, celującej niezwykłą pięknością.

Wyszedłszy z pieczary, udaliśmy się na dół do źródła. Z pod skały z dwóch dość obszernych otworów bucha tutaj tożsame źródło, które w sklepieniu jaskini nad nami i u nóg naszych huczało. Woda podobnie jak w Kościeliskiej dolinie Czarny Dunajec ma złudzająco czarną barwę, a jednak jest przeźroczystą jak łza. Wyborną

---

*) *Merkwürdigkeiten des Königreichs Ungern* tom I, str. 41.

**) *Centralkarpathen* str. 314.

ona jest w smaku, ale nie taka zimna, jak w Tatrzańskich źródłach — oczywiście, bo położenie groty daleko niższe od Tatr.

Opowiadał nam przewodnik, człowiek prosty, ale nie łgarz, spekulujący na kieszenie podróżnych, bo chwała Bogu ta choroba Słowacyi jeszcze nie dosięgła, że podobna do Benikowy grota znajduje się na zachód w górze Uhliszcze (nie Uhlisko, jak mylnie na mapie oznaczono); również ma być pod wsią Bodice czyli Bodicka, niedaleko wsi Demanowy, dość znaczne jezioro (po słow. Morskie Oko lub pleso) jednak bezrybne. Bodice należy do rodziny Palugyayów. Na mapie nie oznaczono wcale tego jeziora. Mocno żałujemy, że nie mogliśmy przekonać się o prawdziwości tego twierdzenia, lecz niestety ograniczony czas nie pozwolił na to.

Dobrze po godzinie trzeciej wróciliśmy do mieszkania gajowego, a posiliwszy się i odpocząwszy, ruszyliśmy około godziny $4^1/_2$ napowrót po serdecznem pożegnaniu z uprzejmym Miszurą, któremu na tem miejscu oddać musimy pochwałę, że tutejszą okolicę doskonale zna i niezawodnie ciekawość każdego turysty zaspokoić może. Niecała godzina wystarczyła, aby nas do domu zawieść, gdyż z powrotem droga idzie szybko i ciągle na dół.

Z południowej strony Mikulasza poprowadzimy teraz czytelników na północ, gdzie nas zapraszają do siebie trzy bardzo dobrze z Mikulasza widoczne szczyty Wielkiego i Szerokiego Wierchu i Palki, te dwa ostatnie połączone ze sobą tak zwanem Siodełkiem (po słow. sedilko). Dumnie spoglądają one na położone u podnóża okoliczne miasteczka i wsie, i rzeczywiście mogą się pysznić, gdyż wstrzymują one gwałtowne a zimne wiatry północne. Wycieczka na szczyt Palki nie trwa dłużej nad pół dnia, ale trzeba się kazać podwieść pod sam las u podnóża tej góry. Przejechawszy tor kolejowy, pną się nasze dziarskie koniki pod dość przykrą górę ku wsi Trzcienne (po słow. Trstjenne, po węg. Nadasfalva). Mizerna to wioska, liche chałupy słowackich górali; nędzny kościółek, waląca się drewniana dzwonnica, cmentarz zaniedbany, nawet nieogrodzony — oto smutny obraz tutejszego ubóstwa.

Skręcając na lewo, dojeżdżamy przez potok Bobrowiecki do miasteczka (Marktflecken) Wielki Bobrowiec (Velki Bobrovec, Nagy Bobrócz). Pod nazwą miasteczka *(Marktflecken)* nie trzeba rozumieć, iż są tutaj murowane kamienice, rynek, sklepy i t. p. Wielki Bobrowiec wszystkiego tego nie posiada, z pierwszego wejrzenia zaraz zakrawa na obszerną wieś, jednak ma przywilej

odbywania jarmarków, zkąd się też niemiecka nazwa *Marktflecken* datuje; zresztą wcale porządnie jest zabudowany, widocznie mieszkańcy, których liczba wynosi 1869 rzymsko-katolików, 24 ewangielików i 18 żydów, muszą być zamożni. Na wzgórku dominuje biało tynkowany wielki i piękny kościół murowany, założony w r. 1200, z wyniosłą wieżą, a trochę poniżej znajduje się szkoła nosząca napis łaciński z dawnych jeszcze czasów: *Schola nationalis oppidi Nagy Bobrócz.* Do parafii należy siedm okolicznych wsi liczących ogółem 920 dusz wyznania rzymsko-katolickiego. Ciekawa jest budowa tutejszych domów, której gdzieindziej w okolicy Mikulasza nie zauważaliśmy. Na fundamencie z płaskich kamieni zazwyczaj na małem wzniesieniu ziemi wystawione jest półpiętrze *(mezzanin)*, wchód zaś do mieszkania prowadzi nie od frontu po schodkach, lecz obok po stopniach z płyt kamiennych; przeciwnie z przodu jest wejście do sklepionej piwnicy. Naprzeciw takich domostw najczęściej po drugiej stronie drogi znajdują się małe spichrze, najprzód z belek silnie spojone, później zaś gliną wylepione, a u zamożniejszych wapnem tynkowane.

Mijając Wielki Bobrowiec i zostawiając na prawo wioseczkę Jałowiec (Jalovec), dojeżdżamy wreszcie pod las. Wysiadłszy z wozu, pięliśmy

się przyjemną, lesistą a wcale nieuciążliwą drogą pod górę. Niedochodząc do samego szczytu, spostrzegamy w dziko poszarpanej rozpadlinie jakby ociosane dwa czerwonawo przyświecające głazy, przez których środek białe paski przechodzą. Co to jest? czy to granit? pytamy naszego przewodnika, gajowego Horzaka. Nie, panaczku, to je mramor (marmur), odpowiada ku wielkiemu naszemu zdziwieniu. Rzeczywiście, że to nic innego, tylko doskonały i twardy marmur, jak jego odłamki wyraźnie wskazują. Już po drodze w lesie dosyć ich tu i tam rozsypanych zebrać można. Gruboby się omylił, ktoby sądził, że powstała wskutek takiego odkrycia tu na miejscu fabryka obrabiania i polerowania marmurów, tembardziej, że wszelkie inne warunki są takiemu przedsiębiorstwu bardzo na rękę, bo i droga wcale niezła i od kolei niezbyt odległa. Przeciwnie, wszystko tu jest jeszcze w stanie pierwotnym, wszystko dotychczas nietknięte i niewiadomo nawet, czy i kiedy doczeka się podniesienia tego rodzaju przemysłu, a tem samem pomnożenia dobrobytu mieszkańców. Co więcej jeszcze, znajduje się w tych górach żelazo i sól, gdzieniegdzie złoto, ale — spoczywa i spoczywać będzie nietknięte pod ziemią pewno przez bardzo długie lata. W dzisiejszych ciężkich czasach nawet ma-

rzyć nie można, aby kto chciał kopaniem swój majątek ryzykownie na kartę stawiać.

Ze szczytu Palki pyszny odsłania się widok na znaczną przestrzeń Liptowskiego hrabstwa. Kilkanaście wsi i miasteczek, począwszy od Hradka aż po Ciepłą (Tepla), rozciąga się w dolinie przed nami. Na południe ogranicza widok Południca, Jaworowa i Uhliszcze, ale po za niemi ukazują się inne jeszcze wyższe wierchy, na zachodzie zaś dominuje imponująco wspaniały Chocz. Śliczne złociste łany pełne pięknego ciężkiego zboża i owsa, poprzerzynane gdzieniegdzie zielonemi paskami ziemniaków, kapusty lub koniczyny nadają temu krajobrazowi niezwykłego uroku, od którego trudno oczów oderwać. Snadnie nawet można się obejść bez dalekowidza, gdyż znając choćby tylko z mapy okolicę, wszystkie wsie i miasteczka dokładnie rozróżnić można. Na samym szczycie Palki znajduje się szałas, gdzie wybornej żętycy, mleka i znanej, tłustej liptowskiej bryndzy dostanie. Również rośnie tu bardzo obficie w gęstych kępkach czerwona bruśnica (Preisselbeere, Vaccinium vitis Idaea), bardzo przyjemnego kwaskowatego smaku, której lud w Liptowskiem i na Spiżu używa jako lekarstwo w niektórych chorobach żołądka.

Zszedłszy na dół, wyjechaliśmy z Wielkiego

Bobrowca na Andraszową (Andrasfalu), własność hr. Pongraca (Pongrácz), gdzie są śliczne wille i pałacyki letnie kilku panów węgierskich.

Jeszcze raz powtarzamy, jak ostrożnie należy brać wszelkie opisy i wskazówki w przewodnikach podróży. Nie wypływa bynajmniej z tego, abyśmy siebie wyżej chcieli stawiać nad innych, gdyż i w naszych naprędce skreślonych szkicach mogą się niezawodnie znaleść usterki; lecz nie należy opisywać tego, czego się nie widzi. Otóż Scherner powiada, że pokłady marmuru w Wielkim Bobrowcu oddalone są od Mikulasza o $^3/_4$ godziny; jestto fałsz, gdyż trzeba jechać do Wielkiego Bobrowca dobre $1^1/_2$ godziny, ztąd zaś pod górę, gdzie marmur, jazdą, później piechotą najmniej $2^1/_2$ godzin. Pięknieby ten wyszedł, ktoby wskazówki Schernera posłuchał i piechotą się wybrał do pokładów marmuru! —

Jeszcze w jedną okolicę Mikulasza poprowadzimy czytelników, zanim ten opis zakończymy.

W południowo-wschodniej stronie od Mikulasza leży między górami śliczne ustronie, wieś Święty Jan (svati Jan, po węg. Szent-Ivany), która przedstawia tyle różnych ciekawości, że zaiste opłaci się tam wycieczka. Widocznie Mikulaszanie nie ciekawi cudów przyrody, gdyż znów mieliśmy sposobność przekonać się, że to miejsce mało ich ob-

chodzi i prawie im jest nieznane. Wycieczka ta niedaleka, można ją piechotą odbyć, ale dla wielkiego upału i kurzu na szosie woleliśmy wózkiem pojechać.

Wybornie utrzymaną szosą jedziemy na Okoliczną (Okolicsno), już od roku 1282 gniazdo starodawnej magnackiej rodziny Okolicsanyi; jest tu piękny starożytny kościół, w którym mają się znajdywać różne ciekawe pamiątki. Nie widziawszy go wewnątrz, tylko w przejeździe, nie możemy o nim nic bliższego powiedzieć. Minąwszy Okoliczną opuszczamy szosę a zawracając na prawo, natrafiamy o kilkanaście kroków od drogi źródło wody szczawiowej (*Sauerbrunn*); jest ono w polu, ocembrowane lecz nie nakryte, każdemu zaś przechodzącemu wolno z niego czerpać. Woda ma smak przyjemny, kwaskowaty, ale nie jest tak silna, jak np. w Szmeksie. Przejeżdżając rzekę Wag na porządnym drewnianym moście a zostawiając na lewo Poturnię (Poturnya) przybywamy do wsi Święty Jan, leżącej na lekko wznoszącem się wzgórzu. Po drodze zwracają naszą uwagę prządnie zbudowane domostwa, widzimy nawet kilka ładnych wil z obszernemi pięknie utrzymanemi ogrodami. Mijając kościół ewangielicki, mamy przed sobą w niezbyt wielkiem ztąd oddaleniu kościół katolicki, który zbudowany na odosobnionej skale wapiennej panuje nad całą miejscowością.

Zanim za przewodnictwem kościelnego wejdziemy do kościoła, każmy sobie najprzód pokazać groby rodziny Szent-Ivanych. Są one w kostnicy obok kościoła, ale nie pod ziemią, lecz na ziemi— ciała leżą w trumnach, które są obłożone szczelnie wapnem i cegłami. Tym sposobem ciała przez długie czasy w całości utrzymać się mogą. Naliczyliśmy wszystkich trumien 24 — wszystkie bez napisów, z wyjątkiem jednej, na której czytamy: *In pace requiescit spectabilis ac generosa domina Theresia Szent-Ivanyi nata Ocolicsanyi. Obiit anno Domini 21 Decembris 1833 aetatis suae an. 86.* Starodawny ród rodziny magnackiej Okolicsanych, właścicieli opodal położonych wsi Okolicsno i Poturnya, od kilku wieków już spowinowacony jest z familią Szent-Ivanych. Dziwne wrażenie sprawia na zwiedzających zwykła czarna trumna wewnątrz próżna, z napisem na wierzchu kredą nakreślonym: *Endlich glücklich.* Dowiedzieliśmy się, kto autorem tego rzeczywiście wielce znaczącego napisu. Oto jeden z członków rodziny, Janosz czyli Janko Szentivanyi, żyjący w latach 1820 czy 1830, kazał sobie za życia jeszcze sprawić tę trumnę i ciągle ją miał ze sobą. Kiedy będąc w podróży umarł, rodzina kazała tę trumnę na pamiątkę zachować i w kostnicy złożyć.

Kościół sięga bardzo odległych czasów, gdyż

zbudowany został za węgierskiego króla Andrzeja II, który panował od r. 1205—1235. Prawdopodobnie jednak musiał być później po kilkakroć odnawianym, jak się wewnątrz przekonać można. Według udzielonego nam uprzejmie przez p. Żegotę Paulego szematyzmu kościelnego dyecezyi spiskiej na rok 1876 istnieje tutaj parafia od roku 1327; do niej należy sześć okolicznych wsi, liczących razem 451 dusz rzymsko-katolickiego wyznania. Zaraz przy wchodzie jest wejście do pierwszego, a przed wielkim ołtarzem do drugiego grobu rodzinnego; ciała, a nawet suknie, są mimo 300 lat, odkąd tu leżą, doskonale jak mumie zachowane. Dawniej wpuszczano do grobów i pokazywano ciała; od niejakiego czasu jednak zaniechano tego, gdyż zachodzi obawa, aby przypływ świeżego powietrza nie wpłynął na rozsypanie się tychże — zresztą podnoszenie ciężkich kamieni grobowych (pierwszy grób przy wchodzie zastawiony jest prócz tego ławkami) zbyt wielkie pociąga za sobą trudności.

Płyta grobowa znajdująca się przed wielkim ołtarzem nosi napis w otoku: *Generosus dominus Melchior Szent Ivany de Zent (sic!) Ivan vicecomes comitatus liptoviensis charissimis parentibus suis generoso domino Hani Szent Ivany de .... de Sophiae Pothurnay amoris ....* W miejscach wy-

punktowanych napis tak zatarty, że niepodobna go odczytać. W środku płyty wykutej z kamienia u góry napis *a. Dom. 1628* poniżej zaś piękny herb Szent-Ivanych, hełm z pióropuszem, nad nim trąba myśliwska z jednej, a ręka opancerzona z drugiej strony. Ten sam herb alfresko robiony znajduje się w sklepieniu nad organami z dodatkiem tylko, że podtrzymywany jest przez dwóch górników. Miałyżby tu być dawniej huty, o których teraz ani śladu nie widać? Łatwo to być może, gdyż okoliczności sprzyjające bardzo za tem przemawiają. Pod kazalnicą spostrzegamy drugą płytę grobową, wykutą z marmuru i wprawioną w ścianę. Napis na niej po części zatarty, a po części ławką zastawiony, tak, że nie podobna go odczytać; widać tylko wyraźnie herb rodzinny i r. 1619. Ani wielki ołtarz, ani drugi boczny nie przedstawiają żadnej historycznej lub artystycznej wartości.

Zewnątrz kościoła za wielkim ołtarzem znajduje się przy murze, którym cały kościół obwiedziony, dziwnego rodzaju źródło. Nie jest ono ani ocembrowane, ani nakryte, bo nikt z niego nie użytkuje. Bucha tutaj z wielką siłą woda dość czysta, jednak dziwnego jakiegoś smaku gorzkawo-kwaskowato-siarczanego; przeważnie czuć siarkę, co już spostrzedz można po roślinach i kamie-

niach tuż przy źródle, które powleczone są osadem siarczanym. Przed wschodem i po zachodzie słońca źródło bulkocze daleko silniej i pokryte jest gęstą mgłą, która zawiera w sobie tyle zabójczego gazu siarczanego, że przelatujące o tej porze nad źródłem małe ptaki natychmiast odurzone bez życia padają. Opowiadał nam kościelny, że i na człowieka te gazy wpływ wywierają— wprawdzie go nie zabijają, ale tak silnie odurzają, że nie radzilibyśmy nikomu wystawiać się na podobną próbę. Jak już wspomnieliśmy, użytku z tego zródła niema żadnego, nikt się nie zajął zbadaniem ani analizą jego — to też swobodnie odpływa sobie najprzód pod ziemią, potem pokazuje się poniżej kościoła w dwóch miejscach i prawdopodobnie wpada do płynącej przez wieś rzeczki Sztiawnicy.

Sama już nazwa Sztiawnica wskazuje, że na gruncie wsi musi się znajdywać dużo źródeł zawierających w sobie szczawę. Rzeczywiście przy samej drodze poniżej kościoła wydobywa się zaraz jedno ze skały, w której skład widocznie także siarka wchodzi; smak ma przyjemny kwaskowato-siarczany. Tuż obok jest drugie, otoczone trzema pagóreczkami, dalej trzecie, sączące swą wodę na drogę. Tylko jedno z tych źródeł jest jako tako nakryte — reszta nie ma ani dachu,

ani ocembrowania, gdyż woda bez użytku upływa do rzeczki. Rzeczywiście bardzo dziwić się należy, dlaczego te drogocenne skarby przyrody leżą tutaj zupełnym odłogiem; wszak mogłyby tu powstać w krótkim czasie słynne kąpiele siarczane, może także wapienne, zdroje mineralne szczawiowe i inne, gdyż wszelkie warunki ku temu są dane. Pod tym względem panuje tu kompletna apatya i niechęć do takich przedsiębiorstw, któreby właścicielowi już bez tego majętnemu człowiekowi jeszcze znaczne dochody przynieść mogły. Gdzieindziej zagranicą przedziurawiliby ziemię całej okolicy celem poszukiwań za źródłami leczniczemi i stworzyliby bardzo piękne i silne kąpiele — tutaj podobna myśl pewno nikomu przez głowę nie przejdzie — a zdrowiodajna woda jak upływa tak może jeszcze przez długie lata odpływać będzie bezużytecznie do rzeczki Sztiawnicy.

W poprzednio wymienioném dziele*) przytacza autor, że główne źródło wytryskujące z jednej skały wapiennej 5—6 stóp wysokiej i tyleż długiej, buchało z 40 otworów wielkich na cal. Woda była letnia i parowała, a w zimie się gotowała. Od tego czasu musiało się źródło zmienić,

*) Zobacz *Jenny-Schmidl Reisehandbuch durch das Königreich Ungarn* str. 100.

gdyż woda mimo podziurkowanej skały bulkocze tylko z dwóch większych otworów — prawdopodobnie pod ziemią otworzyło sobie źródło inne drogi, któremi też gdzieindziej uchodzi.

Svati Jan należy do Szent-Ivanych; jestto jedna z najdawniejszych rodzin magnackich w Węgrzech a niezawodnie najbogatsza w całem Liptowskiem. Głowę rodziny, p. Józefa Szent-Ivanyego, mieliśmy sposobność poznać osobiście w r. z. przy jeziorze Szczerbskiem (Csorba) podczas poświęcenia szałasu zbudowanego przez węgierskie Towarzystwo Karpackie. Czcigodny ten starzec, rozmiłowany w górach, wspiera Towarzystwo częstemi datkami pieniężnemi.

Ludność Svatego Jana wynosi 288 katolików, 670 protestantów i 55 żydów, razem 1013 dusz.

Zanim przejdziemy do dalszego opisu naszej podróży, nie zawadzi zdaniem naszem podać pobieżnie nakreślony szkic o ludności słowackiej. Jako należący do rozgałęzionego szczepu słowiańskiego, jako pobratymcy i najbliżsi sąsiedzi nasi, odgraniczeni tylko Karpatami, zasługują rzeczywiście na to, abyśmy ich bliżej poznali a nie odsuwali się od nich — tembardziej, skoro dziś w bezustannej walce o swoją narodowość i język od zaślepionych Węgrów na każdym niemal kroku są prześladowani.

Ogólna liczba Słowaków w całych Węgrzech wynosi okrągło 3 miliony, z których $2^1/_2$ miliona wypada na okolice podkarpackie, reszta zaś rozsypaną jest w drobniejszych lub większych koloniach albo też zmieszaną z innemi narodowościami w środkowych i południowych Węgrzech. Na Podkarpaciu zamieszkują Słowacy w ściśniętej masie 15 północnowschodnich hrabstw, mianowicie są hrabstwa Trenczyńskie, Orawskie i Liptowskie czysto słowackie; w Turockiem, Barszeckiem (Bars), Nitrzańskiem (Neutra), Honckiem (Hont), Gömörskiem, Spiskiem (Zips), Szaroszskiem (Sáros), Zemplińskiem i Abaujvarskiem hrabstwie przeważają Słowacy w znacznej większości; w Preszburskiem zaś i Nowogrodzkiem hrabstwie (Neograd) zostają w liczebnej mniejszości. W tej dziedzinie Słowacyi znajdują się jednak rozproszone dwie grupy Niemców, mianowicie w pasmie gór tak zwanych *Ungarisches Erzgebirge* koloniści górnicy i w górnej części Spiża w 16 Spiskich miastach Sasi (*Zipser Sachsen.*)

Mowa słowacka jest najwięcej zbliżoną do czeskiej a choć nieposiada tak bogatej literatury jak ta ostatnia, jednak odznacza się bogactwem słów, jędrnością wyrażeń, gramatykalną dokładnością i dla ucha miłą dźwięcznością. Dla każdego Polaka język słowacki w rozmowie jest bardzo

zrozumiały, jak niemniej odwrotnie dla Słowaka polski. Najczyściej mówią po słowacku w Turockiem hrabstwie, zkąd oświata rozchodzi się na całą Słowacyę; im więcej wszakże oddala się dziedzina słowacka od tego środkowego punktu, tembardziej rozpada w prowincyonalizmy i tworzy powoli przejście w języki sąsiednich Morawian, Szlązaków, Polaków i Rusinów.

Z przykrością jednak zaznaczyć nam wypada, jak ten biedny naród przez obecny rząd węgierski jest bezustannie trapionym i prześladowanym, li-tylko dlatego, że silnie trzymając się swej narodowości i mowy nie daje się żadną miarą zmadiaryzować. Rozpoczęto od tego, że w gimnazyach rządowych w Słowacyi zaprowadzono język wykładowy węgierski, nieprzepuszczając nawet religii, a naukę języka słowackiego zostawiono jako przedmiot nadobowiązkowy tylko w trzech gimnazyach; prócz tego nie pominięto żadnej sposobności, ażeby podczas wykładów miotać obelgi na naród słowacki zohydzając jego przeszłe dzieje historyczne. Ta okoliczność spowodowała Słowaków, że rozpisawszy między sobą składki zebrali odpowiednie fundusze i założyli trzy gimnazya narodowe, które swoim kosztem utrzymywali. Ponieważ te naukowe zakłady bardzo pięknie się rozwijały i ducha narodowego podnosiły, przeto

kłuły rząd madiarski ciągle w oczy i nie dały mu prędzej spokoju, dopóki rozmaitemi haniebnemi intrygami i pod pozorem panslawistycznych agitacyj gimnazyów tych nie zamknął. Są jeszcze wprawdzie po miastach i wsiach szkoły miejskie i wiejskie, w których język wykładowy jest słowacki, ale szczególniej te ostatnie nie mogą podołać swojemu zadaniu i pozostawiają wiele do życzenia. Zaciekłość Madiarów ku Słowakom nie ogranicza się przecież na samej szkole, gdyż na każdym prawie kroku starają się im dokuczać; możnaby pod tym względem wiele przykładów przytoczyć, z jakiemi trudnościami biedny Słowak łamać się musi, jeżeli obrał stan nauczycielski, duchowny lub urzędniczy.

Mimo takiego ciągłego prześladowania i znęcania się Węgrzy nie osięgli zamierzonego celu, wynarodowienia Słowaków, i zapewno nigdy go tym sposobem nie dopną, bo Słowacy wiedząc dobrze, jakie im grozi niebezpieczeństwo, w ściśniętej falandze moralnie się bronią i nie pozwolą na wydarcie tego najdroższego skarbu, jakim jest narodowość i język. Już przed rokiem 1848 tacy przewodnicy i gorący patryoci słowaccy jak Sztur, Hodża, Hurban w pismach i odezwach swoich ciągle upominali Słowaków, ażeby silnie razem się trzymali i od języka swego nieodstępo-

wali. Później zaś, bo w r. 1863 założono Towarzystwo literackie „Matica Slovenska“ celem wydawnictwa naukowych i pouczających książek w języku słowackim. Liczba członków wynosi obecnie około 900, kapitał zaś 73,000 złr. Siedziba Towarzystwa znajduje się w stolicy słowackiej w Turockim św. Marcinie (Thurócz Szent Marton). Prócz tego istnieje jeszcze w Tyrnawie od r. 1869 drugie Towarzystwo literackie „Spolek sv. Vojtecha“, które wydaje katolickie religijne książki w języku słowackim i liczy przeszło 2,000 członków z kapitałem 40,000 złr. Już jednak przemyśliwa nad tem rząd węgierski, aby pod jakimkolwiek błahym pozorem te dwa czynne i bardzo pożyteczne towarzystwa skasować. Ze znaczniejszych wydawanych dzienników wymieniamy tylko „Narodnie Noviny“, „Slovenske Noviny“ i „Orol Tatranski“. Nie dosyć na tem założyli jeszcze Słowacy w Turockim św. Marcinie w umyślnie na ten cel zakupionym domu z ogrodem, bibliotekę, posiadającą już dzisiaj 7000 dzieł, i muzeum, w którem zgromadzają piękne okazy z dziedziny archeologii, historyi, numizmatyki, przyrody itp. Założona w r. 1869 na akcye drukarnia „Maticy Słowiańskiej“ daje piękne świadectwo o poczuciu Słowaków, aby się dla odparcia zamachu na ich narodowość wymierzonego solidarnie łączyć i ofiar-

nego grosza dla podtrzymania ducha patryotycznego nie skąpić. Jednem słowem, gdzie tylko okiem rzucimy, dostrzegamy wielką ruchliwość przywódzców i patryotów słowackich, aby niecne zabiegi wszędzie nurtujących i podkopujących Madiarów zniweczyć i odeprzeć.

To też nie należy się dziwić, że w takich okolicznościach wszelkie usiłowania Węgrów, aby Słowaków zmadiaryzować, są daremnemi, bo włościanie słowaccy ani słowa po węgiersku lub po niemiecku nie rozumieją i tych języków nauczyć się nie chcą. Urzędnik, szlachcic lub ksiądz dostawszy się w okolice przez Słowaków zamieszkałe musi umieć po słowacku, gdyż inaczej nie jest w stanie rozmówić się z ludnością wiejską. Prześladowania, jakie Węgrzy w swojej zaciekłości na lud słowacki rozciągnęli, wywierają wręcz przeciwny skutek, gdyż utwierdzają jeszcze bardziej Słowaków w biernym oporze stawianym wobec nierozumnych i gwałtownych żądań Węgrów. Ciekawe w tym względzie szczegóły zawiera broszura napisana przez słowackiego historyka Franciszka V. Sasinka, p. t. *Die Slovaken, eine ethnographische Skizze,* której pierwsze wydanie wyszło w r. 1875 w Turockim św. Marcinie, drugie zaś, poprawne i pomnożone, również w tymże roku w Pradze czeskiej. Z niej właśnie czerpnęliśmy

główną część naszego szkicu o Słowakach. Ciężkie zarzuty przeciw haniebnemu postępowaniu rządu węgierskiego wobec Słowaków zawiera także zupełnie świeżo wyszła w Pradze broszura p. t. *Aeltere und neuere Magyarisirungs-Versuche in Ungarn mit besonderer Rücksicht auf die Slovaken.* Nie wymieniony z nazwiska autor bez litości smaga w niej rząd węgierski i przepowiada w końcu ostatecznie rozpadnięcie państwa węgierskiego, jeżeli ten zapał madiaryzowania innych narodowości żyjących w Węgrzech nie ustanie. Kto chce bliżej poznać wewnętrzne stosunki Słowaków, temu polecamy uważne przeczytanie tych dwóch dziełek.

Jak wyżej wspomnieliśmy, nie było naszym zamiarem podać dokładnego obrazu całej Słowacyi pod względem etnografii, handlu, przemysłu itp. gdyż przechodziłoby to zakres niniejszych szkiców — dlatego kończąc nasze ogólnikowe uwagi, wracamy do dalszego opisu podróży.

Szybko przebiegamy od Mikulasza koleją żelazną przestrzeń, która nas jeszcze od Tatr oddziela; przejeżdżamy przez stacye Hradek (Liptó Ujvar), Ważec (Vazsecz) i Hochwald — za tą ostatnią dopiero otwiera nam się przepyszne panorama całego głównego łańcucha Tatr, w którem oko pełne zachwytu i radości tonie, niewiedząc,

na którym wierchu ma spocząć. Przypatrzmyż się im bliżej. Na samem czele jakby z odwróconą w tył głową i w górę wzniesioną szablicą stoi dumny Krywań (2500 m. n. p. m.) niby odzywając się do swych druhów, towarzyszów pancernych i hussarzy: W imię Boga i przeczystej dziewicy Maryi, naprzód, za mną, na pohańce! — Za nim w długim szeregu wierna jego wezwaniu postępuje drużyna, cała od stóp do głów w żelazo odziana — niepodobna nam całego bojowego szyku tych tytanów, każdego z osobna wymienić — dlatego poprzestaniemy tylko na rotmistrzach, którzy tutaj rej wodzą. A więc za tym dumnym dowódzcą postępuje Żelisko (Szolisko 2399 m.), Baszta (Bastya 2398 m.), Tupa (2231 m.), Kończysta (Botzdorfer Spitze, Koncsiszta 2552 m.), Gerlach (2659 m.), Sławkowski szczyt (Schlagendorfer Spitze, Szaloki csucs 2478 m.), Średni Wierch (Mittelgrat 2475 m.), Łomnica (2635 m.), Kesmarski Szczyt (2534 m.), Koperszady (Kupferschächte, Hatulso rézaknak 1590 m.) a wreszcie Żelazne Wrota. Ale czy też tam nie brakuje kogo z towarzyszów pancernych, tych *sidera minorum gentium?* — Przeliczmyż...

..... er zählt die Häupter seiner Lieben,
Und sieh'— ihm fehlt kein theures Haupt

można powtórzyć śmiało za poetą, gdyż rzeczy-

wiście jak stały przed wieki, tak i dziś stoją wszystkie nieporuszone, żelazne jak mur, jak nieprzełamana falanga Aleksandra Wielkiego... Ale otóż jesteśmy już w Popradzie, a zabrawszy swoje manatki z kolei znajdujemy się w gościnnym hotelu browaru piwnego *(Bräuhausgarten)*.

Powiadają Niemcy o miejscu, w którem wykwintnie a tanio żyć można: *Man lebt dort, wie unser Herrgott in Frankreich.* Ten ostatni ustęp pozwolimy sobie zmienić na: *in Ungarn* — szczegółowo to dotyczy hotelu browaru piwnego w Popradzie. Przedewszystkiem jednak wypada nam poznać miasteczko Poprad.

Poprad (Popradinum, w dawnych czasach Villa Theotonicalis, po niemiecku Deutschendorf), jedno z szesnastu miast Spiskich *), otrzymał nazwę

*) Do 16 koronnych miast Spiskich należały Nowawieś (Novaves, Iglovia, Iglo, Neudorf), Lubica (Leibitzium, Laibitz), Podhradz (Kirchdorf lub Kirchdrauf, Szepes Várallya), Włochy (Vlahi, Olaszinum lub Villa Italorum, Olaszi, Wallendorf), Biała (Bela), Spiska Sobota (Mons S. Georgii, Georgenberg, Szepes Szombathely), Wielka (Velka, Völk, Felka), Maciejowce (Matthaei Villa, Matzdorf, Mattheocz), Straża (Michaelis Villa, Michelsdorf, Sztrazsa), Wierzbów (Verbow, Menhardi Villa, Menersdorf lub Menhardsdorf), Twarożna (Durandi Villa, Durand lub Durlsdorf), Ruśkinowce (Riszdorf, Rusquinium, Ruszkinocz),

od rzeczki Poprad, na której prawym brzegu jest położony. Przed więcej niż trzystu laty założono w najbliższej okolicy kopalnie srebra i miedzi, które jednak później zarzucono, gdyż się wcale nieopłacały. W roku 1762 wzięto się powtórnie do dzieła, ale ilość wydobywanej miedzi nie pokrywała znacznych kosztów, dlatego też odtąd wszelkie dalsze roboty górnicze zaniechane zostały. W roku 1774 otrzymał Poprad przywilej odbywania jarmarków i targów tygodniowych *).

Kościół katolicki w Popradzie założonym został około roku 1245, ale różnemi późniejszemi prze-

---

Podoliniec (Podolinum, Pudlein, Podolinecz), Gniazdo (Gnezda, Gniesen lub Kniesen) i wreszcie Lubowna (Lublovia, Lublo, Lublyo). Wiadomo z dziejów, że rozrzutny i wiecznie potrzebnicki cesarz niemiecki a król węgierski Zygmunt zastawił w roku 1412 wymienione miasta królowi Władysławowi Jagielle za cenę 37,000 kop szerokich groszy prazkich (*sexagenarum latorum grossorum,* jak opiewa akt zastawny, przytoczony w całości w Szepeshazym), która to na owe czasy bardzo znaczna suma wypłaconą mu została w zamku Czorsztyńskim. Ponieważ następcy Zygmunta nie starali się o wykupno, przeto pozostały te miasta w posiadaniu królów polskich, póki w roku 1772 od Korony oderwane nie zostały.

*) Wiadomość o kopalniach Popradzkich podajemy z ciekawego dzieła p. t. *Ungrisches Magazin,* II. Band str. 44. *Pressburg 1782.*

budowaniami tak przeistoczony został, że dziś ze starożytności zaledwie tylko jedna cząstka pozostała. Taki właśnie ślad znajdujemy w dzwonnicy, przytykającej do kościoła. Wykonaną ona jest w staroromańskim stylu a kształt ma czworograniasty; ściany dochodzą 20 do 25 metrów wysokości, na wierzchu zaś ozdobione są pięknemi baszcikami i konsolami. Starożytny napis łaciński znajdujący się z jednej strony jest prawie zupełnie zatarty, nie można więc wiedzieć daty wystawienia dzwonnicy. Trzy dzwony wiszące tutaj odznaczają się silnym i pełnym dźwiękiem. Widać, że dzwonnica przetrwała długie wieki, bo już się znacznie ku starości pochyliła, jak te rysy i szpary w niej dowodnie pokazują.

Wewnątrz kościoła pierwsze nasze wejrzenie padło na wielki ołtarz. Lecz co to — czy się przypadkiem nie mylimy? — Nie, jeszcze raz się dobrze wpatrując, widzimy św. Pawła pustelnika— udekorowanego moskiewskim chrestem Aleksandra Newskiego! Mimo świętości miejsca lekki uśmiech zaigrał na chwilę na naszych ustach. Ale opiszmy ten dziwoląg bujnej wyobraźni malarskiej.

Na pierwszym więc planie siedzi św. Paweł w jaskini i czyta prawdopodobnie w biblii; na piersiach jego wisi złoty, wyraźnie złoty krzyż

(nie krucyfiks), w kształcie swym złudzająco podobnie zrobiony do chrestu św. Aleksandra Newskiego. U nóg św. Pawła leży łania, która na widok zbliżającego się pasterza z trzodą czy też myśliwego z psami chce powstać; św. Paweł zaś prawą ręką palcem gniewnie na dół wskazuje, jakby do łani przemawiał: Leżeć! — Nad jaskinią wznosi się palma, na ostatnim zaś planie widzimy jakieś góry; czy malarz chciał przedstawić swojskie Tatry, czy też prześcignąć słynnego podróżnika po Afryce Livingstona i przedstawić góry Księżycowe będące w głębi Afryki wtedy, kiedy o nich nikt jeszcze nie słyszał — któż to może wiedzieć. Jeżeli zaś z św. Pawła koniecznie chciał zrobić górala Tatrzańskiego, w takim razie na cóż ta *licentia pictoria* z afrykańską palmą w Tatrach?

Całe wnętrze kościoła gruntownie teraz odnawiają, tak, że przez zastawione belki i rusztowania nie wiele zobaczyć można. W nawie od samej góry część malowań alfresko już ukończona, przedstawia następny obraz. W środku Pan Jezus na tronie w ustach płomienisty miecz (!) zasiada do sądu ostatecznego; po obu jego bokach 12 apostołów. Poniżej nich także z obu stron wierni przez aniołów do nieba wprowadzani, na ostatnim zaś planie źli opasani wszyscy jednym wielkim

łańcuchem przez czartów do piekła brani. Piekło przedstawione tu jest w postaci strasznej rozwartej paszczy olbrzymiego smoka. Ze starodawnych ubiorów i trzewików z długiemi końcami *(Schnabelschuhe)* przekonać się można łatwo, że malowania te pochodzą z 14 wieku. Cały kościół miał wewnątrz takie malowania alfresko. Prócz starożytnych organów i pięknej marmurowej chrzcielnicy z r. 1645 niema tu zresztą nic ciekawego do widzenia.

Proboszcz tutejszy, X. Jan Pribissovszky, siwiuteńki, ale jeszcze bardzo krzepki staruszek, obchodził już przed sześciu laty pięćdziesięcioletni jubileusz swojego kapłaństwa.

Ludność Popradu składająca się przeważnie z Niemców Spiskich liczy obecnie 424 rzymsko-katolików, 1 greko-katolika, 631 ewangielików i 8 żydów, razem 1064 dusz. *) Mieszkańcy trudnią się rolnictwem, rękodziełami i po części także furmaństwem, odkąd kąpiele w Szmeksie i grota lodowa w Dobszynie większego rozgłosu nabrały.

Kiedy właściwie Niemcy Sasi *(Zipser Sachsen)* na Spiż przybyli, nie można z pewnością oznaczyć; jedni z historyków przypuszczają, że jeszcze

*) Zobacz *Schematismus almae dioecesis Scepusiensis pro anno saeculari 1876*, str. 44.

za czasów Karola Wielkiego, drudzy, że za św. Stefana, króla i patrona Węgier, inni zaś zgadzają się na to, iż naród Sasów przywędrował za panowania króla Gejzy II (Izajasza) około r. 1150. Ostatnie to twierdzenie zdaje się być najprawdopodobniejszem. Pierwszy i najdawniejszy przywilej udzielony został Sasom Spiskim przez króla Stefana V w roku 1271; tak w tym jak w aktach darowizn króla Beli IV (panował od r. 1236—1270) tudzież potwierdzeniu przywilejów swych przez króla Karola I wyraźnie jest mowa o Sasach Spiskich (*Saxones nostri de Scepus*), nie podlega więc najmniejszej wątpliwości, że przodkowie dzisiejszych mieszkańców miasteczek Spiża z Saksonii pochodzą.

Mowa ich niemiecka nie odznacza się pięknością, ale przeciwnie jest tak chropawą i twardą, że czasem nawet dla rodowitego Niemca staje się niezrozumiałą. Zamiast n. p. Messer mówią *Masser*, Leder—*Lader*, wer—*war*, Pelz—*Palz*, Feder—*Fader*; zamiast Wasser mówią *Wosser*, Narr—*Norr*, lachen—*lochen*; wo—*wu*, Moos—*Mous*, Hosen—*Housen*. Niektóre wyrazy są nawet zupełnie niezrozumiałe; tak np. *ischig* ma znaczyć *etwas*, *Gestöpp* tyle co *Gewürz* i t. p.

Kościół ewangielicki pięknie zbudowany jest w jednej linii o parę kroków od katolickiego położony; pastorem jest obecnie Karol Wünschen-

dorfer, znany miłośnik Tatr, który je też kilkakrotnie opisywał. Ktoby chciał dokładnie poznać Tatry węgierskie, niechaj się uda do niego po potrzebne wskazówki, a niezawodnie chętnie mu ich udzieli.

Rzeka Poprad (Popradus, po niem. Popper) wytryska z Tatr z jeziora Popradzkiego i przepływa w miłej dolinie najpiękniejszą część hrabstwa Spiskiego. Pod Lubowlą opuszcza Spiż a wkrótce także, przepłynąwszy 8 mil, pod Piwniczną kraj węgierski, aby się przy Nowym Sączu połączyć z Dunajcem i z nim wspólnie biedz najprzód do Wisły, potem do Baltyku. Płynąc przez Spiż przyjmuje Poprad wiele innych mniejszych rzek i potoków, przezco tak wzrasta, że już pod Gniazdem (Kniesen) zaledwie 5 mil od źródła staje się spławnym. Obfituje on w ryby, mianowicie w piękne smaczne łososie, węgorze i pstrągi; te ostatnie znachodzą się szczególniej w wielkiej ilości, jeżeli w jeziorach Tatrzańskich przypływ wody nastąpi. Dwie szczególności odznaczają Poprad przed wszystkiemi innemi rzekami w Węgrzech: najprzód nie należy on do porzecza Dunaju, lecz pchając się na północ przerzyna Karpaty i przez Dunajec i Wisłę dostaje się do morza Baltyckiego; powtóre tylko w nim jedynym znajdują się w całych Węgrzech łososie. Ciągną one z końcem maja od Baltyku do Wisły

z niej zaś do Dunajca i Popradu, zkąd znów tąsamą drogą pod jesień do morza wracają.

Mimo sąsiedztwa gór i niebezpieczeństwa mogącego łatwo powstać z nagłego roztopu śniegu na wiosnę lub ulewnych deszczów w lecie, Poprad jednak wylewem swoim nie zrządza tak wielkich szkód, jakby przypuścić należało. Widocznie Opatrzność czuwa nad mieszkańcami, gdyż w razie nagłego wezbrania wód zalałby Poprad niezawodnie wszystkie w dolinie położone miasteczka. O większych powodziach wspominają dawniejsze kroniki, mianowicie znajdujemy w *Chronica Leibitzeriana* wzmiankę, że w r. 1621 przed św. Jakóbem w okolicy Włoch (Wallendorf) tak wielka powódź nastała, iż nietylko domy i kościoły podmuliła, ale także ciała pochowane z cmentarza zabrała. W Kronice Lewockiej (*Leutschauer Chronik*) czytamy pod r. 1661: „12 sierpnia w nocy padał tak ulewny deszcz, jakiego od dawna nie pamiętano. Pod Kesmarkiem, Białą i t. d. wyrwała woda drzewa, zabrała folwarki, pola orne, tak, że nie można było potem miejsca poznać, gdzie one były, a szkodę ceniono na kilka tysięcy złotych, (ówczesnych). Ostatnia znaczniejsza powódź zdarzyła się 17 lipca 1774 r. *).

*) *Topographische Beschreibung des Flusses Poprad* w *Ungrisches Magazin* tom II, str. 33.

W Popradzie są 3 porządne hotele, mianowicie „Bräuhausgarten," „Tatra-Hotel" przy kolei i „zum Schützen" w mieście. Najbardziej przez przejeżdżających turystów uczęszczanym jest „Bräuhausgarten.

O 10 minut odległy od kolei hotel ten ma tak śliczne położenie, jak pewno rzadko który na świecie. Przechodząc koło browaru, dostajemy się do ogrodu, gdzie po prawej ręce niedaleko wchodu znajduje się jeden mały domek parterowy dla gości, po lewej zaś znacznie większy piętrowy z pokoikami umieszczonemi po jednej i drugiej stronie, niemniej z takiemiż schodami. Obadwa domki drewniane są gustownie w stylu szwajcarskim zbudowane. Wszystkich pokoi jest tylko 20; zbyt mała to liczba na coraz zwiększający się przypływ turystów, którzy tutaj ze wszystkich stron świata nadciągają. To też gospodarz na rok przyszły całe nowe skrzydło przybuduje, gdyż widzi, że obecne dla gości nie starczy. Front tego piętrowego budynku, który nietylko na górze, ale i na dole posiada pokoje gościnne, obrócony jest na północ ku Tatrom, które tutaj w pysznej panoramie się przedstawiają; tył zaś wychodzi na rzekę Poprad, która niedawno dopiero wyszedłszy z macierzystego łona jeziora tegoż samego nazwiska, spokojnie tutaj szemrze i mru-

czy jak kotek po dobrym objedzie. Na dole od tyłu znajdują się kąpiele wannowe. Wszystkie budynki mieszczą się w pośród ślicznego ogrodu, prawdziwego cudu piękności. Taki ogród nie w mieścinie jak Poprad, lecz w stolicy świata zwróciłby na siebie uwagę. Większa część ogrodu rozciągającego się na 15 morgów gruntu poświęcona jest hodowaniu kwiatów, których tutaj niezliczone mnóstwo. Choć nam wcale nie obce te miluchne i wdzięczne córy flory, jednak daremne byłyby nasze usiłowania, ażeby je tutaj wszystkie wymienić; trzebaby na to niezawodnie kilka stronnic z rzędu zapełnić, taka tu ilość i rozmaitość kwiatów, które w około balsamiczną woń wydając zarazem oko nasze pysznemi kolorami zachwycają. A wszystkie tak systematycznie ułożone, w różnych klombach, klombikach, gazonach, rabatach tak gustownie rozsadzone, że z zadziwieniem zapytujemy się, kto tutaj ogrodnikiem, znającym tak wybornie swoją sztukę. Otóż kierownikiem tego edenu jest sam właściciel hotelu p. Dawid Husz (Hus) i jego żona, oboje już w podeszłych leciech, ale jeszcze bardzo krzepcy i na umyśle czerstwi. Te śliczne kwiaty — to dziś jakby ich dzieci — gdyż przed trzema laty podczas cholery śmierć zabrała im wszystkie dzieci — a było ich ośmioro! Biedni starzy, jakże nam was żal ser-

decznie — współczujemy z wami i bolejemy zarazem nad tym okropnym ciosem!

Wprost przed naszemi oknami mamy pagóreczek starannie z Tatrzańskich granitów i innych kamieni usypany, w pośród których wiją się różne rośliny i kwiaty. Nieco dalej tryska i szemrze mały wodotrysk, tuż obok niego ustawiona na schodkach kompletna piramida z wazonikow najrozmaitszych kwiatów. Tam znów biało pokostowane wielkie trójkąty, na których nasadzone złociste, srebrzyste i rubinowe banie szklanne, od dołu zaś małe dzwonki także szklanne, które za każdym powiewem wiatru melodyjne dźwięki wydają. Tu i tam postawione altany kryte i zacienione dzikiem winem, wewnątrz stołki, ławki i stoliki dla wygody gości spacerujących po ogrodzie. W kącie ogrodu znajduje się piękna murowana cieplarnia, zkąd prowadzą schodki na taras — wspaniały z niego widok na całe pasmo Tatr!

W środku ogrodu na lewo jest obszerna półkolista sala z napisem: *Speise-Saal.* Tutaj spożywają się nietylko objady, lecz także śniadania i kolacye, gdyż niema tego zwyczaju, aby ciepłe potrawy do pokojów zanoszono — całe urządzenie hotelu sprzeciwia się temu. Dla rozrywki gości bawiących w hotelu ustawiono w sali do-

bry fortepian a nawet teatru nie brak, tak, że przejezdna trupa aktorów lub grono dyletantów każdej chwili może dać przedstawienie teatralne. Okrążając tę salę przechodzimy koło maleńkiej groty, w której nimfa z urny wodę wylewa; woda sprowadzona jest rurami z pobliskiego Popradu. Dalej trafiamy na kryte kąpiele natryskowe, naprzeciw zaś po drugiej stronie Popradu huczy tartak i silny spad wody Po prawej ręce znajduje się strzelnica, obok zaś kręgielnia. Dalsza część przechadzek prowadzi w pole rozmaitemi zakrętami w gaiku nad Popradem; tu są zasadzone różne jarzyny potrzebne do kuchni restauracyjnej, niemniej żyto i jęczmień. Nie brak także altan i ławek — przezorny gospodarz o wszystkiem pamiętał, aby swoim gościom przyjemność i rozrywkę sprawić.

Nie trzeba sądzić, że hotel p. Husza urządzony jest na sposób pierwszorzędnych hoteli zagranicznych; przeciwnie kontentuje się skromną nazwą *Gasthaus* a całe urządzenie przypomina trochę pensyonat hotelowy zagranicą. Nie ma tu wyfrakowanych i wyfryzowanych kelnerów, którzy przyjeżdżającego turystę stosownie do ilości kufrów i kuferków z uniżonością lub lekceważeniem przyjmują — jest tu tylko jedna uprzejma i ruchliwa *Stubenmadel* i druga *Aufwärterin*, która dla po-

sługi wszystkich gości zupełnie wystarcza. W sali objadowej zaś obsługują gości pod dozorem obojga gospodarstwa trzy kelnerki; na usługę uskarżać się nie można, gdyż jest chętna i szybka.

Przy objedzie, który tanio a smacznie, po gospodarsku jest przyrządzony, nadarza się najlepsza sposobność przypatrzenia obecnym gościom i poznania, zkąd oni pochodzą — dokąd zaś dążą, tego pytać nie potrzeba, bo jakby na czole mieli napisane, że ciągnie ich wszystkich siłą magnetyczną do uroczych Tatr. Przy jednym stoliku siedzi grupka kilku młodych ludzi, widocznie studentów Niemców, co po szramach mensurowych na twarzach poznać można, i dość hałaśliwie opowiada sobie przygody i wrażenia doznane w górach. Dalej jakieś małżeństwo w podeszłym wieku, które jeżeli nie przyjechało dla spinania się po górach, to choć odetchnięcia tem miłem i zdrowem powietrzem górskiem po nieznośnych kurzach i dymach miejskich. Przy następnym stole zasiadło całe towarzystwo z Węgrów złożone, które rozprawiając w swoim języku najprzód o polityce później przechodząc na inny temat rozmowy, także tylko Tatry wychwala. Jednem słowem, gdzie się obrócić, wszędzie słychać opowiadania o rozmaitych wycieczkach i pięknościach natrafionych w tych górach. Wtem otwierają się drzwi i wcho-

dzi marsowatej lecz przytem ujmującej postaci starszy już człowiek ubrany w dobrze nam znany mundur austryackiej marynarki wojskowej. Wiedzeni ciekawością, kto to być może, bierzemy księgę obcych do ręki i wyczytujemy nazwisko: *Heinrich Littrow k. k. Fregatten-Capitain, Fiume.* A więc i tam już sięga sława naszych Alp, skoro tacy goście tutaj przyjeżdżają — ba, nawet dalej, bo obok zaraz figuruje nazwisko jakiegoś kupca z Nowego Jorku, więc aż z drugiej półkuli świata! — Po Węgrach najwięcej w porównaniu przybywa osób ze Szlązka Pruskiego; niezawodnie przyczynił się do tego w znacznej części Scherner wydaniem swojego opisu podróży w Tatry, który mimo wielu usterek jednak na uznanie zasługuje, gdyż otworzył turystom nieznany kraj pełny dziwów i cudów, tak, że niepotrzebują się dziś wybierać do dalekich Alp szwajcarskich.

Szczęśliwym wypadkiem otrzymaliśmy pokoik frontowy z widokiem na ogród i Tatry. Mały to pokoik, umeblowanie skromne, ale tak czyściutkie i schludne, aż miło popatrzeć. Środkowa obszerna sala przeznaczona do gry w bilard, karty i do rozmowy. Tu są przybite taryfy furmanek i fijakrów, następnie ceny win w restauracyi i pokoi. Dla przekonania czytelników, że gospodarstwo nie myślą zdzierać gości w podobny n. p. sposób,

jak to się w Szmeksie praktykuje, podajemy na tem miejscu ceny pokoi: 1 pokój z 1 łóżkiem kosztuje na dobę 60 c., 2 pokoje z 2 łóżkami 80 c., 3 pokoje z 3 łóżkami 1 złr., 4 pokoje z 4 łóżkami 1 złr. 20 c., opał od jednego pokoju 20 c. Na co właściwie ta ostatnia pozycya w taryfie figuruje, tego nie pojmujemy, gdyż pieców nie mogliśmy się dopatrzeć; podczas lata są one zbyteczne, a w innej porze roku letni ten hotel jest zamknięty. Chyba w razie zażądania jaki mały przenośny piecyk do pokoju wstawiają.

Z balkonu przed wielką salą mamy prześliczny widok, rozwarte panorama na całe pasmo Tatr. W samym środku rozsiadł się i dumnie rozparł król Tatrzański, Gerlach, w koło niego zaś po jednej i drugiej stronie jak wazale lub trabanci inne pomniejsze szczyty. Wszystkie one dumnie potrząsając omszałemi a po części osiwiałemi głowami zdają się szyderczo z człowieka urągać: Patrz, jakiś ty nędzny robaczek i proch w obec nas! — A jednak ta wzgardzona przez was tytanów istota zdeptała prawie wszystkie wasze harde karki tak, iż musicie się ugiąć przed jej wyższością!

Całemi godzinami można siedzieć na tym balkonie i rozkoszować się widokiem na góry, który niemal co godzina się zmienia. Najpyszniej przed-

stawiają się one o wschodzie słońca, kiedy niebo czyściutkie bez jednej chmurki a purpurowe promienie słońca tak oświetlą wierchy, że każdy szczyt doskonale gołem okiem rozróżnić można. Kto raz tylko miał taki widok, ten go nigdy w życiu nie zapomni. Wieczorem zaś, gdy się słońce chyli ku zachodowi, powlekają się góry lekką mgłą dziwnej jakiejś niebieskawej barwy, jakby kładąc się do snu zasłaniały łoże gazową firanką. Przeciwnie w ciągu dnia często można spostrzedz, że mgły zasłaniają chwilowo szczyty, podczas gdy niżej położone punkta są widoczne (nakrywają się kapeluszem, jak nasi górale trafnie mówią), lub odwrotnie odsłaniają się wierchy, a zakrywają podnóża gór. Z tego balkonu widać także dokładnie poblizkie miasteczko Wielką (Felka, Velka) a w oddali u podnóża Sławkowskiego Szczytu wyzierający Szmeks, który teraz dostał rywala w Nowym Szmeksie, założonym w pobliżu starego w r. z. przez Dra M. Sontaga (Szontagh).

Słyszeliśmy w Popradzie nietylko od zagranicznych turystów, ale nawet od Węgrów same skargi i narzekania na Szmeks. W zeszłym roku było tam jeszcze dosyć znośnie, obecnie jednak drożyzna niesłychana, równająca się pierwszym zagranicznym kąpielom. Gdyby przynajmniej za

to, że się drogo płaci, była wygoda, porządne mieszkanie i utrzymanie — ale brak tego wszystkiego na każdym kroku dotkliwie daje się uczuwać — mieszkania z umeblowaniem są w nędznym stanie a jedzenie jak było tak też ciągle jest liche i drogie. Zarząd kąpielowy o gości nie wiele dbający stara się tylko o wyciągnięcie z Szmeksu podczas krótkiej pory kąpielowej jaknajwiększe korzyści, nie czyniąc natomiast żadnych wydatków, któreby jaką taką wygodę dla gości na celu miały.

Zamiast więc jechać niepotrzebnie do Szmeksu, radzimy każdemu przybyć do Popradu i zakwaterować się choćby na dłuższy czas u pp. Huszów — turysta ma tutaj bez porównania taniej i wygodniej, a wycieczki wozem do podnóża gór można i ztąd odbywać. Niema się zatem czemu dziwić, że w hotelu browaru piwnego mieszkają osoby nieraz po kilka tygodni, bo kto tutaj był przyznać musi, iż pobyt ten daleko przyjemniejszy i weselszy niż w Szmeksie, gdzie dla mgły dzień się zaczyna i kończy o parę godzin później i wcześniej niż w Popradzie.

O niespełna $^3/_4$ godziny w bok od Popradu leżą uczęszczane kąpiele wapienne Gánocz (Johannsdorf); na miejscu jest restauracya i mieszkania dla gości tudzież piękny park. Kąpieli tych uży-

wają w porażeniach, bolach stawów, wyrzutach skórnych i innych chorobach. Do parafii założonej około r. 1308 i liczącej 160 dusz należą dwie pobliskie wioski Filicz i Hozelecz z 160 mieszkańcami wyznania rzymsko-katolickiego.

Może o 200 kroków od Gánoczu położona jest mała wioska Filicz (Füllendorf, Filsdorf). Na jej gruncie znajduje się źródło szczawiowej wody, którą piją mieszkańcy i goście kąpielowi z Gánoczu. Przy źródle woda ta ma przyjemny kwaskowaty smak, jeżeli się ją jednak przeniesie na inne miejsce lub zostawi na chwilę w jakiem naczyniu, wtedy traci wiele na dobroci i przybiera zapach siarki — są to więc też same prawie oznaki, jakie się okazują na wodzie szczawiowej w opisanym poprzednio przez nas św. Janie (Szent-Ivany).

Naprzeciw Popradu wprost hotelu browaru piwnego, a zaraz za dworcem stacyi kolei żelaznej leży miasteczko Wielka (Fölk, Felka, Filka), liczące 224 rzymsko-katolików, 900 ewangielików i 7 żydów, ogółem 1131 dusz. Parafia istnieje od r. 1245 a kościół nie przedstawiający zresztą nic osobliwego wzniesiony został pod wezwaniem św. Jana Ewangielisty. Przez środek miasteczka płynie potok Wielki (Felka-Wasser lub -Bach), który pędzi młyn i tartak i wpada pod Spiską

Sobotą do Popradu. Przed mniej więcej stu laty znajdowała się tutaj także papiernia, ale dla brudnej wody i zamarzania jej w zimie narażony został właściciel na straty i musiał z tego powodu dalsze wyrabianie papieru zaniechać. Przy bitej drodze koło Cieplic (Teplicz) posiada gmina Wielkiej mały lasek sosnowy, w którym ostatni ze swego rodu starosta Spiski książę Teodor Konstanty Lubomirski zazwyczaj swe polowania odbywał. Nie mając zresztą żadnych innych lasów zmuszeni są mieszkańcy potrzebne im drzewo budulcowe i opałowe z dalszych okolic zakupować i sprowadzać.

W bok od Popradu na tej samej stronie rzeki leży Straża (Michaelis Villa, Michelsdorf), miasteczko liczące 101 rzymsko-katolików, 500 ewangielików i 5 żydów, ogółem 606 dusz. Parafia należy do Popradu. Gmina nietylko, że nie ma własnego lasu, ale nawet brak jej pastwiska, tak, że na lato mieszkańcy wysyłają swoje bydło na paszę aż w Gömörskie hrabstwo do posiadłości księcia Koburg-Koharego. Między Strażą a Popradem była przed kilku wiekami mała wioska Stojańce (Stoissdorf, Stojanfelde, Stoinfalva); kiedy w roku 1412 w skutek wojny bardzo wielka drożyzna a w następstwie morowe powietrze na całym Spiżu powstało, wymarli prawie wszyscy mieszkańcy tej wsi, która odtąd już się więcej nie zaludniła

i zupełnie opustoszała, tak, że dziś nawet najmniejszego śladu jej nie znajdzie, bo na tem miejscu orne pola powstały.

Na lewym brzegu rzeki Popradu a w prostej linii od miasteczka tejże nazwy, oddalona jest o mały kwadrans Spiska Sobota (Mons S. Georgii, Georgenberg, Szepes Szombathely), w dawnych kronikach po węgiersku także Szent Gyur nazwana. W pięknem położeniu na podłużnym pagórku zbudowane jest to miasteczko w kształcie trójkąta. Liczba mieszkańców wynosi 308 rzymsko-katolików, 3 greko-katolików, 462 ewangielików i 11 żydów, ogółem 784 dusz; parafia istnieje od roku 1245. Wspomniany przez nas książę Lubomirski tak polubił Spiską Sobotę dla pięknego położenia swego, że zawsze sobie to miasteczko na mieszkanie obierał, ile razy tylko na Spiż przyjeżdżał.

Zaraz za Spiską Sobotą rozciągają się Maciejowce (Matthaei Villa, Matzdorf, Mattheocz) na lewym brzegu i w pobliżu rzeki Popradu. Mieszkańców liczą 148 wyznania rzymsko-katolickiego, 790 ewangielickiego, a 4 mojżeszowego, razem 942 dusz. Parafia datuje od roku 1231.

Tak w Spiskiej Sobocie jak w Maciejowcach znajduje się zarówno kościół katolicki i ewangielicki.

W odaleniu 2 godzin od Popradu jest wzgórze tak zwane Poprader Schlösschen czyli Burgberg; opłaci się wejście na nie, gdyż widok ztąd na całe pasmo Tatr, część doliny Popradu i Hernadu i całą południowo-wschodnią część Spiża aż do Spiskiego Domu (Zipserhaus, Szepeshàza, Szepesvar), jest rzeczywiście wspaniały. Nie radzimy jednak nikomu mimo blizkości wybierać się tutaj bez przewodnika, gdyż idąc przez las można bardzo łatwo zgubić kierunek drogi i zabłąkać się.

Na tem zakończamy nasz opis Popradu i pobieżny przegląd pobliższej okolicy a przerywając dalszą naszą podróż koleją żelazną, wsiadamy na wózek, który ma nas zawieść ku południowi, gdyż naszym celem obecnie jest zwiedzenie groty lodowej w Dobszynie.

Wyruszywszy raniutko z Popradu, żegnamy się z Tatrami, które wkrótce za najbliższą górą znikają nam z przed oczów. Jadąc wybornie utrzymaną drogą bitą i okrążając wyżynę tak zwaną *Blumenthal*, dostajemy się przebywszy most na rzece Hernad do Grénicz. Po prawej stronie leży wioska Kubach, zkąd można odbyć wycieczkę na szczyt Kralovej Holi. Za wsią Grénicz rozpoczynają się pyszne, gęste lasy, które bez przerwy ciągną się aż po za Dobszyńską grotę. Tutaj w niektórych miejscach tak się dolina i lasy

zwężają, że słońce późno wstając szybko też za lesistą górą znika, choć w innych okolicach parę godzin jeszcze przyświeca. Minąwszy mały tartak i porządną murowaną karczmę przy drodze, przybywamy do małej wioski Vernar (Werndorf), zamieszkałej przez samych tylko Słowaków. Zdaleka z po za lasu wygląda naprzeciw nam ciekawie szczyt dumnej Kralowej Holi, na który ztąd konno z przewodnikiem dostać się można. Za wioską Vernar droga wije się, ciągle w pośród wspaniałych lasów, w wężykowatych zagięciach pod górę, aż dochodzi do najwyższego punktu, który stanowi góra Popova 5400' n. p. m. Wyborna droga bita (*Kunststrasse*), po której jedzie się jak na tablicy, zbudowaną została całkowicie kosztem i nakładem bogatego magnata węgierskiego księcia Koburg-Koharego. O zamożności jego świadczą olbrzymie lasy, przez które obecnie przejeżdżamy; rozciągają się one od okolic Dobszyny aż po hrabstwo Ostrzyhomskie (Gran.). Prześliczne to lasy, których gdzieindziej zobaczyć niema sposobności, bo albo po części wycięte (jeżeli nie całkiem), albo w lichym zaniedbanym stanie. Tutaj przeciwnie na każdym kroku niemal znać staranną rękę leśniczych, to też niema się czemu dziwić, że niektóre drzewa dochodzą do niesłychanej objętości i wysokości. Daremne byłyby za-

biegi węgierskiego żyda Poppera, tego niecnego niszczyciela lasów, (który swą chciwą na łup rękę już do Galicyi wyciąga), aby od księcia Koburg-Koharego zakupić choć cząstkę tych pysznych lasów, za którąby niezawodnie dobrze zapłacił. Zacny ten pan, z prawdziwem uznaniem wyrzec to musimy, nie sprzedaje ze swych lasów nikomu ani jednej piędzi ziemi a uzyskane z nich drzewo obraca na użytek budowli itp. w swych rozległych dobrach. Książę surowo tego przestrzega a bawiąc kilka razy do roku w swych majątkach, gdzie polowanie odbywa, ma sposobność przekonania się, czy jego polecenia są wypełniane. Jakiżto szczytny przykład dla znacznej części magnatów węgierskich, którzy przeputawszy zagranicą swój majątek lub straciwszy go w spekulacyach giełdowych, chwytają się teraz ostatecznego środka i chcąc znaleźć ratunek od długów sprzedają lasy hurtem takiemu Popperowi, który je bezzwłocznie do ostatniego pnia wyniszcza i okolicę w pustynię zamienia! Niestety, z żalem to przyznajmy, i u nas podobnie się dzieje — najwyższy zatem czas, aby rząd spiesznie wdał się w tę sprawę i zapobiegł dalszemu bezmyślnemu a tak szkodliwemu tępieniu lasów.

Uważaliśmy za stosowne podać na tem miejscu

kilka uwag, które nam się mimochodem nasunęły, a teraz wracamy do dalszego opisu.

Z góry Popova schodzi droga ciągle na dół aż do samotnej karczmy położonej w polu, zwanem Puste Pole. Miejscowość usprawiedliwia zupełnie nazwę, gdyż rzeczywiście prócz karczmy z przytykającą do niej szopą niema w całej okolicy żadnej innej chaty. O mały kwadrans ztąd na prawo w południowo-zachodniej stronie leży na małym wzgórzu gustownie zbudowany zameczek do polowania *(Jagdschloss)* u podnóża dwóch szczytów zwanych Kralova skala i Kralova hola, 1940 m. n. p. m. (Królewska skała i Królewska hala). Zameczek ten należy do księcia Koburg-Kohareg i tu on podczas pory letniej przebywa jakiś czas ze swoją rodziną; w czasie naszego przejazdu właśnie znajdował się w lesie zatrudniony polowaniem. Dokoła otoczony zameczek pięknie utrzymanym parkiem, w pośrod którego bije w górę wodotrysk na 10 metrów wysokości. Symetrycznie zbudowany balkon ozdobiony jest licznemi wspaniałemi rogami z jeleni, które nadto noszą odpowiednie przysłowia myśliwskie. Obok zameczku znajduje się leśniczówka.

Wspaniale przedstawia się od karczmy widok na szczyt Kralowej skały i Kralowej holi. Podnóże ich zarośnięte gęstym borem, samo zaś wzgó-

rze nagie uderzająco podobne do Czerwonego Wierchu Małołączniaka (2088 m.) w Tatrach. Jeszcze w Popradzie będąc ułożyliśmy sobie plan, aby przejeżdżając przez Puste Pole dostać się ztąd piechotą na Kralową holę, zkąd zachwycający a może najpiękniejszy widok na całe pasmo Tatr. Jednak jak to mówią: chłop strzela a Pan Bóg kule nosi — nieobliczyliśmy się dokładnie, gdyż projekt nasz rozbił się o brak przewodnika. Byli wprawdzie w karczmie furmani słowaccy, którym ofiarowaliśmy dobrą zapłatę za przewodnictwo, ale mimo próśb i widoku wynagrodzenia żaden z nich nie chciał nam tej przysługi wyświadczyć. Jeszcze jeden ratunek zostawał, udać się do gajowego, któryby nam przewodnictwa pewnie nie odmówił; widocznie jednak ciężyło nad nami jakieś *fatum*, bo i ta ostatnia nasza kotwica urwała się — gajowy na pół godziny przed naszem przybyciem wyszedł do lasu. A więc choć smutkiem przepełnieni zmuszeni jesteśmy pożegnać cię, Królowo, nie oddawszy ci należnego hołdu na szczycie! Czego wszakże nieosiągnęliśmy teraz, to mamy nadzieję dopiąć w roku przyszłym ze wsi Telgarth, zkąd znacznie bliżej na szczyt i łatwiej, gdyż przewodnika każdej chwili dostać można.

Po krótkim wypoczynku w Pustem Polu jedzie-

my dalej obróciwszy się na lewo. Scenerya co chwila się zmienia; po jednej i drugiej stronie drogi na przemian wzgórza, lasy, skały i pola, cały zaś krajobraz ożywiony mile szemrzącym strumykiem. Za pół godziny jesteśmy już przy Ostrej Skale; jestto wysoka nader malownicza skała tuż przy drodze nad rzeczką, ostro ścięta, podczas gdy od góry z przeciwnej strony cała świerkami obrośnięta. Ztąd zostawiając po prawej na łące leśniczówkę już niedaleko do domu zajezdnego, wystawionego w stylu szwajcarskim przed trzema laty dla wygody gości zwiedzających Dobszyńską jaskinię lodową. Dom ten zbudowany został kosztem gminy miasta Dobszyny, do której tak jaskinia jak też okoliczne lasy należą. W odległości może 20 minut znajduje się jaskinia lodowa na wzgórzu w lesie; dojeżdżając do domu zajezdnego zdaleka już widzimy wejście do niej. Na górę prowadzi wygodna ścieżka przez las wysypana żwirem, tak, iż tamże śmiało bez przewodnika dostać się można.

Wejście do jaskini jest ogrodzone i zamykane, prócz tego opatrzone napisem węgierskim i niemieckim: *jegbarlang*, *Eishöhle*. Płaci się tu osobne wstępne po 40 c. od osoby, następnie dla przewodnika po 10 ct. Pochodni ze sobą brać nie wolno, gdyż cała jaskinia wewnątrz oświetlaną

jest lampami naftowemi stosownie do życzenia zwiedzających i wedle oznaczonej taksy. Swoją drogą należy wziąść w rękę świecę stearynową dla dokładniejszego przypatrzenia się formacyom lodowym; świece są do nabycia u przewodnika. Nie zawadzi także zamówić sobie u przewodnika trochę drutu magnezyowego, gdyż oświetlenie nim niektórych części jaskini sprawia rzeczywiście czarujące wrażenie. Wszystkie te przyrządzenia wynoszą razem wziąwszy dość znaczną sumę, dlatego radzimy każdemu chcącemu zwiedzić jaskinię, aby z Popradu nie wybierał się sam lecz o ile można w towarzystwie; wtedy koszta rozkładają się na całą ilość osób i są oczywiście znacznie tańsze niż na jedną osobę.

W naszem towarzystwie znajdowało się dwóch Prusaków, jeden urzędnik, drugi lekarz z Szląska Pruskiego, którzy zaciekawieni opisem Schernera chcieli przekonać się osobiście o tych cudach przyrody. Właśnie przewodnik daje nam znać, że lampy zapalono i że możemy schodzić. Poprzednio już otuleni w ciepłe pledy przyzwyczailiśmy się w przedsionku jaskini na wolnem powietrzu na raptowną zmianę z ciepła do lodowatego zimna, zatem bezpiecznie bez narażenia się na przeziębienie i powstające ztąd inne choroby możemy zejść na dół. Bez najmniejszej obawy kroczymy

naprzód, gdyż wzdłuż całej jaskini położony jest drewniany chodnik z desek opatrzony w poręcze, gdzie zaś droga idzie na dół znajdują się takież-same schody. Podobne praktyczne urządzenie i ułatwienie dla turystów usprawiedliwia żądanie osobnej zapłaty wstępnego, które pobiera gmina miasta Dobszyny jako właścicielka tej jaskini. Mamy jednak nadzieję, że taksa wstępnego niezadługo usuniętą zostanie, skoro tylko koszta urządzenia poniesione przez gminę Dobszyńską pokryte będą, co sądząc wedle zwiedzania przez licznych turystów wkrótce nastąpić może.

Rozglądnijmy się teraz po jaskini dokładniej. Cóżto za różnica w porównaniu do opisanej przez nas poprzednio Cziernej holi w dolinie Demanowskiej! Tam zastaliśmy tylko jedną grotę napełnioną lodem — tutaj przeciwnie cała jaskinia wzdłuż i wszerz składa się jakby z jednej bryły lodu. Wszędzie gdzie spojrzeć, błyszczy i lśni się lód w przeróżnych formacyach. Pierwsze wrażenie działa tak imponująco na zwiedzającego, że z niedowierzaniem sam siebie zapytać się musi, czy jest we śnie czy na jawie. Baśnie arabskie Scheherezady z Tysiąc nocy i jedna, opisane tak kwiecistym stylem, mogą tutaj śmiało znaleźć zastosowanie, gdyż nie potrzeba wyobraźni, aby w zbyt bujnej myśli z tych lodowców utworzyć sobie zacza-

rowane zamki królewskie, wnętrza pałaców, góry dyamentowe i t. p. Opis tajemniczej i fantastycznie upstrzonej świątyni jaskiniowej Ellory w Indyach Wschodnich, niemniej starodawnych asyryjskich i egipskich świątyń żywo nam się tutaj przypomina — takie to wszystko pyszne i wspaniałe, a zarazem podziwienie i cześć dla Tego wzbudzające, który podobne cuda z niczego stworzył!

Otwór jaskini, zkąd zdaleka już lodowy chłód przewiewa, położony jest na północ 848 metrów nad powierzchnią morza, sama zaś jaskinia rozciąga się w głębi na wschód. Składa się ona z dwóch z lodu utworzonych pięter, które jak wyżej wspomnieliśmy połączone są ze sobą drewnianemi chodnikami i schodami. Zaraz od wchodu zniża się jaskinia na długość 12 metrów pod kątem 45 stopni, poczem schodzimy na pierwsze piętro. Początkowo jest ono spadziste, trochę dalej jednak tworzy ogromną gładką płaszczyznę całą z lodu, która zajmuje obszar około 1800 metrów kwadratowych. Wygląda to zupełnie jak wielkie jezioro zamarznięte. Niemal na środku jego widzimy pierwszy słup lodowy, sięgający od góry aż na sam dół; jest on tak kolosalnej objętości, że potrzebaby kilkunastu tęgich chłopów, aby go rękami objąć. Przewodnik obeznany dobrze ze swoim żywiołem zbliża się bez obawy po

gładkim lodzie do słupa i oświeca go ze wszystkich stron, podczas gdy zdala bezpiecznie na drewnianym chodniku temu się przypatrujemy. Olbrzymi słup w swych dziwacznych kształtach biały i przeźroczysty jest jak kryształ; załamujące się przez szczeliny i szpary światło wydaje najpyszniejsze barwy, które chyba tylko ze lśniącą w słońcu kroplą rosy porównać można. Wtem nagle zajaśniał w ręku przewodnika drut magnezyowy i oświetlił wspaniale całe pierwsze piętro jaskini — ogólny okrzyk podziwu i zdumienia wydobył się z naszych ust! Boć też trudno wyobrazić sobie czarowniejszego widoku, jaki teraz naszym oczom się przedstawił. Jakby srebrem oblany a dyamentami obsypany wznosi się przed nami słup, a u nóg naszych lśni się przepysznie lodowata podłoga, jakby najpiękniejszy parkiet alabastrowy. Skaliste zaś sklepienie jaskini obwieszone jest mnóstwem długich szklących sopli lodowych, które najrozmaitsze fantastyczne kształty przybierają. Zdala widoczne ściany jaskini jakby pocukrzone, tak są obsypane drobnemi kryształami lodowemi, że błyszczą jak wspaniałe gwiazdy. A tam w głębi znów inny widok, bo otóż pokazują się dwa ogromne filary lodowe. Jednem słowem zachwycone oko tonie w tym przestworze nowych, zupełnie nieznanych światów

i musi sobie formalnie gwałt zadać, aby się od tych czarujących widoków oderwać, które zwiedzającego prawie siłą magnetyczną do siebie przyciągają.

Długość jaskini w kierunku na wschód wynosi 114 metrów; dalsza droga zamknięta jest gruzami powstałemi wskutek zapadnięcia się skały. Grunt tworzy czysty lód, który po największej części gładki jest jak szkło, gdzieniegdzie także chropawy; w niektórych zaś pustych miejscach wydaje głuchy odgłos, jeżeli się przezeń przechodzi lub laską stuknie. Sklepienie nie wszędzie dochodzi jednakiej wysokości, o ile wszakże na oko sądzić można, wznosi się na 8 do 10 metrów a nawet wyżej; jestto skała wapienna, jak wszędzie w tego rodzaju jaskiniach, po części naga, a po części okryta ślicznemi kryształami lodowemi, które mają blask podobny do dyamentów. Kryształy te bliżej wyjścia z jaskini znachodzą się na sklepieniu coraz gęściej i okrywają także ściany poboczne. Utwory lodowe w rodzaju stalaktytów okazują najrozmaitsze dziwaczne postacie; obok kolosalnych filarów i pustych cylindrów, których rozmiary i wysokość 8 do 10 metrów wynoszą, widzimy mniejsze słupy złożone jakby ze samych piszczałek organowych, dalej kaskady wody zamienione w lód; ze stropu wiszą podo-

bne do muszli podmyte lub olbrzymie sople lodowe jak miecz Damoklesa nad przechodzącym, od dołu zaś wyrastają ostre spiczaste słupy, między któremi znajdują się znów przeróżne dziwne formacye. Do takich oryginalnych utworów zdziałanych przez ciągle czynną przyrodę zaliczyć należy prześliczny ogromny słup lodowy przeźroczysty jak kryształ, który od dołu do góry obsadzony jest mnóstwem drobnych misternych wieżyczek gotyckich, co na przypatrującym się niezwykłe wrażenie sprawia. Bardzo trafnie wybrano to miejsce na zbiór biletów wizytowych od zwiedzających turystów, gdyż z łatwością taki bilet za pierwszą lepszą wieżyczkę wetknąć można. Ściekająca z góry woda rozszczepała ten słup na trzy części i utworzyła pod nim basen wody na 1 metr głęboki; woda toruje sobie dalszą drogę wązkiem korytem pod masami lodu.

Tuż obok znajduje się nadzwyczajnie podobny namiot Beduina, a trochę poniżej z głową i trąbą całkiem wyraźnie słoń, oczywiście wszystko z lodu. W dalszej wędrówce po jaskini natrafiamy na tak zwaną altanę lodową (*Eislaube*), która nad wchodzącym do niej tworzy pół okrągłe sklepienie i w ogóle dziwnie naśladuje altanę ogrodową. Do najciekawszych jednak zjawisk w tym świecie lodowym należy bez wątpienia zasłona (*Vorhang*),

widzimy bowiem przed sobą bardzo delikatną tkaninę lodową przeróżnych kształtów, z po za niej zaś przegląda jakby za naturalną firanką cała ściana z lodu utworzona. Taki widok szczególniej przy oświetleniu drutem magnezyowym nigdy z pamięci zwiedzającego turysty nie wyjdzie, gdyż w swoim rodzaju jest on niezawodnie jedynym. Nie należy także opuścić wielkiego wspaniałego wodospadu, który lecąc z hukiem z jednej szczeliny jaskini na dół jakby tajemniczą siłą czarodziejską w biegu swoim zatrzymany i cały w lód zamieniony został.

Jeżeli od wchodu jaskini obrócimy się w kierunku południowym, spostrzegamy, że grunt lodowy spada pod kątem 55 stopni; dlatego też trzeba zejść wzdłuż całej wysokości góry na 145 w lodzie umocowanych drewnianych schodach, chcąc się dostać na spód drugiego piętra. Ta góra lodowa rozlega się na wysokość 30 metrów tak na północ jak na południe i wschód; tworzy ona północną granicę dolnego piętra i rozciąga się aż do jej wschodniego końca, w którym kierunku coraz więcej staje się spadzistą, tak, że wreszcie tworzy prostopadłą ścianę mającą 15 metrów wysokości. Lód jest biały i przeźroczysty jak szkło, a na pionowej płaszczyźnie można z osadu wapiennej wody pojedyncze peryody jego

tworzenia rozpoznać, a więc w podobny sposób, jak się z kręgów ściętego pnia wiek drzewa oblicza. W dolnem piętrze znajduje się ku wschodowi rozszerzona na kształt jaskini szczelina, której jedna ściana fantastycznie niby tajemniczym urokiem jest ustrojoną. To ciche ustronie, które zdaje się być stworzone do spokojnego rozmyślania i wzniesienia ducha ku Najwyższemu, nazwano bardzo trafnie kaplicą *(Kapelle)*. Grunt dolnego piętra nie jest lodem pokryty, lecz wskutek zawalenia się dalszej części jaskini gruzami skał zasypany. Między skałami znaleźć można czasami formacye stalaktytów, niektóre sople lodowe dosięgające 1 metr wysokości lub małe płyty lodowe. Głębiej na dole, gdzie w lecie woda silnie cieknie, nagromadza się dużo z wodą naniesionego piasku wapiennego, w którym znaleźć można kości małych a tutaj zabłąkanych zwierząt.

Według dotychczasowych spostrzeżeń zrobionych w latach 1870 i 1871, był lód w lecie 1870 r. w płaskich a głębiej położonych miejscach 2 do 4 centymetry wodą oblanym, w zimie zaś gładziutkim i zupełnie suchym. Wyrąbane w lodzie schody (wtedy nie było jeszcze drewnianych) musiały być na nowo odrąbane, gdyż całkiem zamarzły. W zimie jest każdy słup lodowy znacznie

grubszym a woda uchodząca z pod opisanego przez nas poprzednio filara zupełnie zamarza.

Zewnętrzna ciepłota wywiera znaczny wpływ na ciepłotę jaskini, ale tylko do pewnej oznaczonej granicy. Najwyższe zauważane ciepło wewnątrz dosięgło + 5° C. w sierpniu 1870 (przy równoczesnej ciepłocie powietrza zewnątrz + 22·5° C.), najmniejsze zaś — 8·75° C. w grudniu tegoż roku (przy — 25° C. ciepłoty zewnętrznej.) Widzimy więc z tego, że jaskinia ta odmiennie od innych jaskiń stalaktytowych, n. p. w Demanowskiej dolinie, w zimie jest zimniejszą, w lecie zaś cieplejszą. Łatwo można się domyśleć, że przy takiej temperaturze organiczne życie się nie uchowa. Wprawdzie znajdywano tutaj dotychczas różne kości zwierząt, mianowicie czaszki prawdopodobnie dwóch kun, dwa zamarzłe nietoperze wraz z wielu długiemi i cienkiemi kostkami tychże, niemniej jednego motyla; nie przemawiałoby to jednak bynajmniej zatem, że zwierzęta tutaj swą kryjówkę szukały, lecz prędzej uważać należy, że do jaskini jakimś sposobem się dostały i dla braku pożywienia i z zimna wyginęły.

Cała jaskinia byłaby niewątpliwie znacznie obszerniejszą i w głąb ziemi się rozciągającą, gdyby zawalenie się ogromnej skały nie stało dalszemu przejściu na przeszkodzie. Znawcy, górnicy Do-

bszyńscy, obliczają całą długość jaskini na blizko milę i twierdzą, że jest w połączeniu z drugą jaskinią znajdującą się po tamtej stronie góry. Jak widzimy jednak z poprzedzającego połączenie to jest zwaliskami skały zupełnie przerwane, gdyż nie można nawet marzyć o tem, aby kiedykolwiek tę zaporę usunięto.

Dobszyńska jaskinia znaną już jest od przeszło stu lat. Króciutką wzmiankę o niej znajdujemy w cytowanem przez nas poprzednio dziele *Ungrisches Magazin*, tom I str. 77, Pressburg 1781. Wiedziano o tem dobrze, że istnieje, ale przez długie czasy nikt do jej wnętrza nie zaglądał, gdyż okrzyczaną została jako niedostępna i wewnątrz cała poszarpana, zawalona ogromnemi bryłami lodu, których przebyć nie podobna. Dopiero w r. 1870 młody człowiek niejaki Ruffini, wtedy jeszcze akademik górniczy, postanowił bądź co bądź przekonać się osobiście, czy pogłoski te są prawdziwe. W towarzystwie kilku swoich kolegów kazał się spuścić na linach w głąb jaskini i ostrożnie posuwając się naprzód nabrał przekonania, że nie taki djabeł straszny jak go malują. Jemu więc przypada głównie zasługa właściwego odkrycia tego czarującego miejsca. Dziś Ruffini zajmuje posadę wyższego urzędnika górniczego w Dobszynie a właśnie, kiedyśmy jaskinię zwie-

dzali, obierano miejsce nad wchodem celem umieszczenia pamiątkowej tablicy na cześć jego.

Po godzinnej prawie wędrówce w lodowych podziemiach wróciliśmy na górę, gdzie w drewnianej altanie zbudowanej dla wypoczynku gości uiściliśmy przypadającą na nas należytość i zapisaliśmy nasze nazwiska do księgi obcych. Pełne stronnice zapisane są tu nazwiskami turystów przybyłych z różnych stron świata; po Węgrach znów pierwsi następują Niemcy, szczególniej Prusacy, którym Scherner swoim opisem pierwszy drogę utorował. Aby zapobiedz nadużyciom ze strony przewodnika, przybita jest na altanie taryfa cen, a prócz tego każdy turysta wpisuje w oddzielną księgę wszystko, co płaci, z wyjątkiem kwoty 10 c. od osoby, które przewodnik do ręki dostaje. Wcaleby jednak nie zawadziło, gdyby gmina miasta Dobszyny wybrała na posadę przewodnika człowieka weselszego i rozmowniejszego, bo obecny jest strasznie monotonny i jakiś chmurny. W jednej osobie jest on zarazem przewodnikiem w jaskini a krawcem i członkiem straży ogniowej ochotniczej w Dobszynie.

Z altany rozlega się bardzo piękny widok na okoliczne lasy i Ostrą Skałę, zdala po lewej stronie zamyka widnokrąg wspaniała Kralova hola a

na prost nas wyglądają ciekawie ze skrawka lasu szczyty Łomnicy i Lodowego.

Dokładny naukowy opis jaskini Dobszyńskiej wyszedł po niemiecku w Budapeszcie w r. 1874 przez Dr. J. A. Krennera nakładem Towarzystwa przyrodników węgierskich. Tekst objaśniony jest kilku tablicami litografowanemi w tonach a przedstawiającemi najpiękniejsze punkta jaskini. Chcących bliżej zapoznać się z tą ciekawą formacyą lodową, odsyłamy do niniejszego dzieła.

Zdaje się, że nestor polskich geologów zasłużony krajowi i uczony badacz Karpat L. Zejszner niedowiedział się będąc na miejscu o istnieniu tej jaskini, gdyż byłby ją niezawodnie zwiedził i naukowo zbadał. Tak przynajmniej mniemać należy, gdyż w rozprawie jego p. t. O powstaniu skał metamorficznych w okolicach Dobszyny *) nie znajdujemy najmniejszej wzmianki o Dobszyńskiej jaskini lodowej. Zejszner zwiedzał te strony w roku 1841, a można być pewnym, iż nie byłby puścił mimochodem sposobności dokładnego zbadania takiego ciekawego zjawiska przyrody, gdyby go tylko o tem jaki słuch doleciał.

Dotychczas jaskinia Dobszyńska góruje nad in-

*) Zobacz Bibliotekę Warszawską rok 1842, tom III, str. 324—360.

nemi lodowemi, które są znane; znajdują się wprawdzie w innych miejscowościach Węgier np. w Sziliczu, następnie w Biharskich górach w Siedmiogrodzie, w Alpach styryjskich, w Morawii itd. także jaskinie lodowe, ale są one bez porównania mniejsze i nie mogą się poszczycić takiemi pysznemi formacyami lodowemi ani taką obfitością lodu, jaka się w Dobszyńskiej znachodzi. Już co do tej ostatniej okoliczności niech nam będzie wolno nazwać jaskinię Dobszyńską Wieliczką lodową, bo gdyby Wiedeń był w pobliżu, niezawodnie te góry lodowe wystarczyłyby dla wszystkich jego browarów, restauracyj i piwiarń na długie lata a nie spostrzeżonoby ubytku, gdyż corocznie tworzą się nowe formacye lodowe. Rzeczywiście ten lód stanowi kopalnię złota dla Dobszyny, gdyż pominąwszy już piękny dochód z odwiedzania jaskini przez turystów, wywożą prócz tego ładunki lodu aż do Wiednia i do Pesztu. Transport odbywa się nocą wozem do Popradu, ztąd zaś dalej koleją.

Zwykle turyści, szczególniej Niemcy ze swoim nieodstępnym Schernerem, jak Anglicy z Murrayem, pod pachą, zadawalniają się zwiedzeniem jaskini lodowej a potem czemprędzej zawracają napowrót do Popradu, jeżeli ztamtąd wyjechali. Tymczasem zaraz w pobliżu znajduje się przepyszny

krajobraz, który zasługuje na to, aby celem zobaczenia nadłożyć mały kawałek drogi. Co się nas tyczy nie potrzebowaliśmy nawet tego czynić, gdyż w dalszej podróży ku południowi, a względnie do pierwszej naszej stacyi miasta Dobszyny droga właśnie tamtędy prowadzi.

Może o ćwierć mili od jaskini leży nader urocza i romantyczna dolina Stracona (po słowacku Stracena, po węgiersku pisze się Sztraczena.) Między labiryntem ślicznych skał najdziwaczniejszych kształtów obrośniętych tu i owdzie rozmaitemi mchami i smrekami, gdzieniegdzie zaś zupełnie nagich wije się rzeczka Hnilec (po słow. Hnjelec, po niem. Göllnitz) tuż pod skałami, które ciągle podmywa. Przez ten skalisty labirynt prowadzi droga w dolinie, a że się bezustannie wężykowato skręca, przeto jadący tracą ją co chwila z oczów, zkąd też bardzo trafna nazwa Stracona powstała. Szczególniej w środku doliny jest jeden punkt imponujący, który na widzu niezatarte wrażenie sprawia. W głębokim wąwozie szumi bystry Hnilec, a po jednej i drugiej stronie drogi, która się tutaj znacznie zwęża, wznoszą się wspaniałe prostopadłe skały jak baszty obronnego zamczyska, patrząc zaś przed sobą nie widzimy dalszej drogi, ponieważ gdzieś bez śladu zniknęła. Chcąc oddać wiernie wrażenia, jakie się nam na

widok tylu piękności naraz do głowy garną, mało być równocześnie poetą i malarzem — wszystko to nie starczy, aby godnie i dokładnie opisać Straconą, wobec której nasza polska Szwajcarya, Ojców lub Mników, blednieje i niknie jak nędzny karzeł!

Więcej niż ćwierć godziny jedziemy ciągle w dziwnych zakrętach, zanim wydostajemy się z tego jakby zaklętego labiryntu, na którego końcu jeszcze nas jedna niespodzianka czeka. Oto w poprzek drogi zamyka nam dalszy przejazd malownicza skała uwieńczona po bokach z natury utworzonemi wieżycami; ponieważ trudno było skierować drogę na bok, przeto budującemu ją nie wypadało nic innego uczynić, jak tylko wybić w tej skale bramę — nią więc przejeżdżamy. Po nad bramą spostrzegamy w skale wykutą tablicę pamiątkową wystawioną na cześć dziedzica księcia Koburg-Koharego, który całą tę drogę swoim kosztem w r. 1867 zbudować kazał. Nie można się bynajmniej na nią uskarżać, choć już nie jest tak dobra, jak prowadząca pod górę Popovą, gdyż przez ciągły wywóz rudy ze wsi Straconý trochę niszczeje.

Zaraz za skalistą bramą rozpoczyna się wioska Stracona zamieszkała przez samych prawie Słowaków hutników, którzy znajdują tutaj zatru-

dnienie w wielkich kuźnicach, własności księcia Koburg-Koharego. Droga prowadzi właśnie koło zakopconych i dymiących wielkich pieców (*Hochöfen*) i mieszkań urzędników.

Za Straconą w odległości pół mili znajduje się tak zwane peryodyczne źródło (*periodische, intermittirende Quelle*), z którego woda tylko co 24 godzin w grubości ramienia wytryska.

Minąwszy huty Straceńskie dostajemy się na haniebną drogę, która wprost do miasteczka Dobszyny prowadzi. Jechaliśmy w samo południe, kurz na drodze był nieznośny a ponieważ do tego istny żar palił z nieba, przeto można sobie wyobrazić, iż nasza jazda nie była do pozazdroszczenia, tembardziej, że szła wolno pod górę. Wydrapały się wreszcie nasze konie na górę, zkąd na jedną stronę otworzył się widok na wielki piec Palzmański (*Palzmann'sche Masse*) i Dobszyński (*Dobschauer Masse*) w dolinie Hnilca, dalej na Andrzejowce (Andrichovce) i Stefanowce, z drugiej strony zaś na miasteczko Dobszynę (po niem. Dobschau, po węg. i słow. Dobsina), położone u stóp naszych w bardzo głębokiej kotlinie otoczonej ze wszech stron górami. Koło licznych sztolni górniczych zjeżdżamy ze stromego wzgórza do miasta.

Dobszyna położona w północno-zachodniej stronie hrabstwa Gömörskiego liczy obecnie 5,505

ludności i jest w całem tego słowa znaczeniu miasteczkiem górniczem. Od bardzo dawnych czasów słynęło ono na całe Węgry niepospolitem bogactwem metalicznem i rozmaitością minerałów. Kiedy w połowie XII wieku sprowadzili Węgrzy dla zaludnienia kraju Niemców, osiadła tutaj kolonia niemiecka i zajęła się zaraz górnictwem. Przez napływ Słowaków w tej okolicy tak się zlał żywioł niemiecki ze słowackim, iż dziś znacznie przeważająca część mieszkańców składa się ze Słowaków. Z wyjątkiem kilku kupców, rzemieślników i przemysłowców reszta ludności poświęca się górnictwu, poblizka też okolica cała jest przekopana i co chwila trafiamy na sztolnie, z których wydobywają żelazo, kobalt, nikiel, miedź; prócz tego znajduje się tutaj jeszcze rtęć, cynober, serpentyna, granaty i asbest. Miasteczko jest nieregularnie i wązko zbudowane, lecz domy murowane i porządnie wystawione. Są tu dwa kościoły, katolicki z dawnych czásów pochodzący i ewangielicki nowszy z piękną wieżą w czysto gotyckim stylu; w rynku znajduje się gustownie zbudowany *Comitatshaus*, a przez środek miasteczka przeplywa tak zwany Dobszyński potok. Dobszyna tem się jeszcze odznacza przed innemi miasteczkami okolicznemi, że posiada umundurowaną straż ogniową ochotniczą, utrzymywaną ko-

sztem gminy. Począwszy od Rosenberga (Rózsahegy), gdzie także jest dobrze organizowana straż ogniowa ochotnicza, nie widzieliśmy jej później ani w Liptowskiem, ani na Spiżu, choćby się w niektórych miasteczkach bardzo przydała, bo domostwa po większej części drewniane lub gontem kryte.

Z Dobszyny prowadzi kolej żelazna tak zwana Gömörska na dół do Banreve, gdzie z jednej strony łączy się od Fülek z Pesztem, z drugiej zaś z Miskolczem. Przerzyna ona dość piękną ale mało zaludnioną dolinę Słonego (Slana, po węg. Sajo); nazwa ta pochodzi od płynącego tutaj potoku. Kolej Gömörska tak powoli jedzie, że na przebycie zaledwie 70 kilometrów do Banreve potrzebuje aż 5 godzin, na większych zaś stacyach tak długo niepotrzebnie się zatrzymuje, że możnaby śmiało pójść do jednego z miasteczek na śniadanie i wrócić do wagonu na czas. W dodatku jeszcze wyjazd z Dobszyny następuje wczas zrana o godzinie 4, tak, że o 3 po północy trzeba już być na nogach, a ponieważ tylko ten jedyny pociąg na dzień ztąd odchodzi, przeto punktualność nie zawadzi, jeżeli przez opóźnienie cały dzień nie ma być straconym.

Skazani niestety zostaliśmy na użycie tej ślimaczej kolei (Węgrzy bardzo słusznie nazywają

ją *Schneckenbahn)*, gdyż zamiarem naszym jest na zakończenie podróży zwiedzić słynną z ogromu i dziwnych stalaktytowych formacyj jaskinię we wsi Agtelek, która w tem samem hrabstwie się znajduje. W obrębie państwa austryackiego (z wyjątkiem oczywiście Węgier) mało kto wie o jej istnieniu, że już zagranicę zupełnie pominiemy, a jednak ta ze wszech miar ciekawa pieczara zasługuje na bliższe zbadanie i opisanie.

Bez długiego namysłu więc wsiadamy w Dobszynie na kolej, która przez Niżną Slanę (Alsó-Sajo) i Bettlér unosi nas ku stolicy hrabstwa Gömörskiego Rożnawy (po niemiecku Rosenau, po węgiersku Rozsnyó.) Miasteczko to w bardzo ładnem położeniu nad rzeką Słoną (Slane, Sajo) liczy 4855 mieszkańców i jest siedzibą biskupią z kapitułą. Piękny czworograniasty rynek ma wiele ładnych kamienic, szczególniej kanoników, prócz tego zwracają na siebie uwagę gustowną architekturą kościół katedralny Wniebowzięcia N. Maryi Panny, pałac biskupi, seminaryum duchowne, gimnazyum i szpital. Minąwszy Rożnawę przejeżdżamy koło Gombaszög, gdzie znaczne huty hr. Aladara Andrassego, brata prezesa ministrów, i miasteczka Pelsöcz (Pleistnitz) a wreszcie dostajemy się do Tornallyi, zkąd właśnie wycieczkę do Agtelek uskutecznić mamy.

Z dawniejszego opisu tej pieczary, który przypadkiem dostał się w nasze ręce, sądziliśmy, że w tych okolicach jest jeszcze siedziba Słowaków i że tym sposobem podobnie jak w Liptowskiem i na Spiżu łatwo z nimi się porozumiemy. Tymczasem podczas jazdy koleją od Dobszyny dowiedzieliśmy się z niemałem zmartwieniem, że na Rożnawie dziedzina Słowaków już się kończy a zaczyna się natomiast kraj Madjarów, z którymi szczególniej po wsiach tylko w tym języku rozmówić się można. Trzeba zaś wiedzieć, że cały nasz słownik węgierski składał się zaledwie z kilku podchwytanych w czasie podróży słów, z któremi w głębi Węgier niedaleko zajechaćby można było. Co tu w takim wypadku począć? Przejechać dalej i nie zobaczyć jaskini, skoro już tak blizko niej jesteśmy — na to nie mogliśmy się żadną miarą zgodzić. Przypomnieliśmy sobie, że jakieś niemieckie przysłowie powiada: *einen ehrlichen Deutschen verlässt der liebe Gott nicht* — a więc zastosujmyż to tym razem do nas i pokażmy, że Polak w obcym kraju może sobie dać radę, choć języka nie umie! Rzeczywiście, tak się jakoś dobrze trafiło, iż nie żałowaliśmy później naszego postanowienia.

Przybywszy do Tornallyi, małej mieściny liczącej 871 mieszkańców, i stanąwszy w porządnym

domu zajezdnym „zum Tiger“ zamówiliśmy furmankę za pośrednictwem gospodyni, która z nami po części łamaną niemczyzną, po części zaś po słowacku rozmawia. Nie tracąc chwili czasu wyruszamy zaraz z Tornallyi a przejeżdżając przez tor kolejowy pniemy się powoli na małe wzgórze. Tu już zupełnie inne położenie niż w Dobszynie, gdyż góry zostawiliśmy po za sobą a natomiast przechodzimy w płaszczyznę. Także w klimacie znajdujemy znaczną różnicę, gdyż okolica tutejsza wysunięta więcej na południe obfituje w kukurudzę, melony, kawony, dynie i t. p., podczas kiedy w górzystych miejscach przebytych właśnie przez nas zaledwie tylko owies i ziemniaki się udają.

Droga do Agtelek prowadzi z tego wzgórza ciągle przez las przeważnie dębowy i nie przedstawia zresztą nic osobliwego; otwarcie wyznać musimy, że cała jazda była dla nas dość monotonną, głównie z tego powodu, że z naszym furmanem, prawdziwym *magyar ember* czyli jak mówią Niemcy *Stockmagyar*, nie mogliśmy się rozmówić. Ta okoliczność jednak nie wpłynęła bynajmniej na pogorszenie naszego humoru, gdyż naprzód już byliśmy na to przygotowani, że nieznając języka będziemy musieli odegrać rolę *quasi* niemego. Nasz furman, któremu poczciwość z o-

czów patrzała, snać odgadywał nasze myśli, gdyż tylko dobrotliwie się uśmiechał.

Po $1^1/_2$ godzinnej jeździe zaczyna się las przerzedzać; zdaleka spostrzegamy bielejące domki jakiejś wioski a może o sto kroków w bok wielką ostro ściętą skałę — to Agtelek, cel naszej wycieczki, a w skale wejście do jaskini. Wedle danej nam wskazówki w Tornallyi zajechaliśmy przed karczmę, aby od gospodarza, porządnego żyda, zasięgnąć bliższej informacyi pod względem zwiedzenia jaskini. Chętnie nam też udzielono potrzebnych wskazówek w języku niemieckim, którym gospodarz jak wszyscy żydzi węgierscy płynnie władał. Za jego pośrednictwem otrzymaliśmy zaraz przewodnika rodowitego Węgra, z którym oczywiście trudno się porozumieć; lecz to nam nie przeszkadza, gdyż krótkie objaśnienie nazw dał nam już gospodarz, więc rozchodzi się głównie tylko o to, aby nas przewodnik dobrze oprowadził i wszystko co widzenia godne pokazał.

Po krótkim odpoczynku i posiłku wybieramy się do jaskini wziąwszy ze sobą potrzebne pochodnie. Jak poprzednio przez nas opisane pieczary w Demanowy i Dobszynie, tak i jaskinia w Agtelek jest na klucz zamykaną, a chcąc ją zwiedzić trzeba oddzielnie wstępne i przewodnika opłacić.

Otwór stanowiący wejście znajduje się w nagiej prawie pionowo ściętej skale, którą nazywają Paradla lub Baradla. Nazwa ta ztąd pochodzi, że w zimie przy odmiennej temperaturze wewnętrznego a zewnętrznego powietrza wychodzą wapory z jaskini przez wystające skaliska, które przezto całkiem szronem zachodzą. Z tych więc jakby wyzionietych waporów otrzymała jaskinia prawdopodobnie nazwę, gdyż te wapory znaczą po węgiersku (zarówno po słowacku i po polsku) p a r a, dlatego też miejsce, zkąd się wydobywały, Paradlo lub skoszlawione po węgiersku Baradla (miejsce parujące) nazwane zostało. Otwór miał dawniej tylko 6 stóp szerokości, a 4 wysokości, tak, że trzeba się było dobrze schylać, chcąc się dostać do wnętrza jaskini; od czasu jednak zwiedzenia jej w r. 1806 przez palatyna arcyksięcia Józefa rozszerzono znacznie wejście, które teraz dość wygodny ma przystęp.

Schodząc trochę stromo na dół spostrzegamy, że pieczara staje się obszerniejszą i że sklepienie się zwolna podnosi. W odległości może 30 metrów od wchodu po lewej ręce znajduje się głęboka szczelina, w której nagromadzona woda, zimna i smaczna, służy dla zwiedzających na pokrzepienie. Trochę dalej jest grota nietoperzów tak nazwana od niezliczonej ilości nietoperzów, które

tutaj dawniej formalnie poprzylepiane do stropu swój sen zimowy odbywały. Teraz ich tu nie widać — prawdopodobnie spłoszone musiały sobie w jaskini inne legowisko wynaleźć.

Przeszedłszy przez kilka mniej znacznych sklepień i komnat, dostajemy się wkrótce do pierwszego potoku, który przepływając wzdłuż prawie całą jaskinię chwilowo pod ziemią znika, aby parę kroków dalej na nowo się ukazać. Woda nie wytryska w jaskini z źródła, lecz lejkowatemi otworami, jak prawie we wszystkich pieczarach formacyi wapienia, dostaje się z powierzchni ziemi w głąb Paradli; jest ona zupełnie czystą i dość zimną, gdyż torując sobie drogę przez szczeliny utworzone w wapieniu zarazem odbywa proces filtrowania.

W dalszej wędrówce przybywamy do wązkiej groty, w której się znajduje tabula krajowa (*Landestafel*), wielki szeroki głaz pełen podpisów zwiedzających osób. Niedaleko ztąd znajdywano dawniej mnóstwo kości ludzkich, których pochodzenie trudno było oznaczyć. Następnie dopiero zaczynają się dziwne utwory stalaktytowe, któremi się ta ogromna jaskinia odznacza. Zaraz w pobliżu trafiamy na tak zwany ołtarz Mojżeszowy (zoltár Mojzsisu) następnie przez obszerną grotę idziemy do ogrodu kwiatowego (*Blumengarten*),

nazwanego od alei stalaktytowych utworzonych dziwnym sposobem jak bukszpan, ztąd zaś do salonu tańca (*Tanzsaal.*) Grota ta jest około 30 metrów wysoką, a może 27 szeroką, zupełnie równą na jakie 300 metrów i prowadzi ciągle nad brzegiem potoku. W tem miejscu rzeczywiście zbierają się młodzi ludzie poblizkich okolic i tańczą; odgłos jest tutaj tak silnym, iż jedne skrzypce wydają muzykę jakby cała orkiestra grała. Dalej przychodzimy pod górę Moriah, która dochodzi do takiej wysokości, iż pochodnie na wierzchu migają się jak błędne ogniki. Chcąc ztąd naprzód się dostać, trzeba było dawniej wychodzić na górę; później jednak utorowano drogę u jej podnóża nad potokiem. Ciasny przesmyk tak zwany czyściec *(purgatorium)* prowadzi do raju *(paradisus)* — jestto jedna z najpiękniejszych części całej rozległej jaskini, gdyż odznacza się niezwykłą ilością ślicznych stalaktytów. Mamy tu Pana Jezusa z 12 apostołami, Adama i Ewę, stopę Adama, arfę Dawida i wiele innych postaci. Mijając kilka grot koło t. z. ambony i białego kamienia (odznaczającego się wielką twardością) przybywamy do królewskiego pałacu. Zwraca tu uwagę na siebie przesmyk stalaktytowy, przez który przepycha się drugi potok. Schodząc znów w głąb dostajemy się do sali, gdzie na pamiątkę odwie-

dzin arcyksiążąt palatyna Józefa i Ferdynanda znajduje się na wielkim słupie stalaktytowym napis po łacinie; pierwszy, wielki lubownik przyrody, zwiedzał ją w r. 1806, drugi zaś r. 1819.

Niepodobna nam na tem miejscu wyliczać wszystkie groty i oznaczone nazwami stalaktyty—jest ich takie mnóstwo, że potrzebaby na to koniecznie osobnej monografii Paradli. Wymieniamy więc w końcu tylko najciekawsze partye, jakiemi są: wielki kościół (*templum*), istotnie wspaniały gmach, wielki ołtarz, statua Najświętszej Panny, studnia, grota woskowa (*Wachshöhle*) pełna prześlicznych stalaktytów, góra dyamentowa (démant hegy) ulica Ferdynanda (Nandor utczá) nazwana na cześć arcyksięcia i wybrukowana równo formalnym asfaltem, i jeszcze wiele, wiele innych zajmujących miejsc.

Wędrówka nasza po jaskini trwała z małemi przerwami spoczynku przeszło cztery godziny, można więc sobie wyobrazić, jak jest rozległą. Widzieliśmy jednak tylko część pieczary, tak zwaną starą jaskinię, gdyż niedawno odkryto dalszy ciąg jej, który dla odróżnienia nosi miano nowej jaskini—ta nie jest jeszcze dokładnie zbadana. Wielka tylko szkoda, że wszystkie groty i stalaktyty w Paradli są całkiem zakopcone od pochodni, z któremi zwiedzający turyści wchodzą; nie

przeszkadza to jednak bynajmniej, aby kształtów pojedynczych figur rozpoznać nie można. Powietrze wewnątrz pieczary jest bardzo czyste i zdrowe; nakrycia ani pledu nie potrzeba brać na siebie, gdyż zimna nie ma żadnego, a więc też niknie obawa przeziębienia. Z żyjących istot organicznych znajduje się tutaj jakiś rodzaj much ślepych i prócz nietoperzy także czasem małe żaby, które niezawodnie z nad powierzchni ziemi z wodą przypłynęły.

Podobno Paradla ma połączenie z mniejszą wprawdzie, ale także ciekawą jaskinią lodową Lednice pod wsią Szilicz, 2 mile na północ od Agtelek; nie możemy jednak orzec, czy to się zgadza z prawdą. Faktem jest, iż Paradla rozciąga się na 2 mile, podczas gdy słynna grota Adelsbergska liczy na długość tylko $^3/_4$ mili; tym sposobem więc ta druga znacznie w tyle za Paradlą zostaje. Także co się tyczy pysznych formacyj stalaktytowych Paradla śmiało wytrzyma współzawodnictwo Adelsbergu i gdyby dzisiaj była tak licznie zwiedzaną i znaną jak Adelsberg, niezawodnie stanęłaby na pierwszem miejscu.

Na Paradle zakończamy opis naszej niestety zbyt krótkiej wycieczki w kraj słowacki. Dziedzina tego poczciwego, pracowitego a potulnego ludu posiada jeszcze tyle wszechstronnych pięknо-

ści, wspaniałych górskich sceneryj, ciekawych źródeł leczniczych i rozmaitych pysznych krajobrazów, że na dokładne ich opisanie kilka lat nie starczy. Tutaj jest jeszcze szerokie pole odłogiem leżące nietylko dla turystów z zamiłowania, ale także przedewszystkiem dla ludzi naukowej pracy. Nasze pobieżnie skreślone szkice niemiały też nic innego na celu, jak tylko zwrócenie uwagi na ten ze wszech miar ciekawy i zajmujący kraj a temsamem skierowanie i odwrócenie naszych podróżników od zagranicy w te piękne okolice, które wcale nie ustępują zagranicznym a nawet pod niejednym względem je przewyższają. Jeżeli cel ten choć w części osiągniętym zostanie, w takim razie zadanie nasze uważać będziemy za spełnione.

DODATEK.

Krótki przewodnik dla zwiedzania miejscowości

podanych w niniejszym opisie.

Uzupełniając nasz opis uważamy za stosowne podać w końcu kilka praktycznych wskazówek, któreby dla osób chcących zwiedzić wymienione przez nas miejscowości zarazem jako rodzaj przewodnika posłużyć mogły.

Przedewszystkiem polecamy każdemu, ażeby się w tę podróż w dobranem towarzystwie przyjaciół lub znajomych wybrał, gdyż wtedy nietylko przyjemniej i weselej czas upływa, ale także, co ważniejsze, koszta rozłożone na kilka lub kilkanaście osób znacznie się zmniejszają; pomijamy już tą okoliczność, że na wycieczkach czworo lub sześcioro oczów więcéj widzi niż dwoje i to, co jeden opuści, niezawodnie zwróci uwagę drugiego lub trzeciego. Praktyczni pod tym względem Niemcy stosując się do tego w podróżach swoich nietylko zagranicą, ale i w kraju łączą się zazwyczaj ze sobą i dobrze na tem wychodzą; po drodze

do Tatr na kolei, w Mikulaszu, Popradzie i t. d. widywaliśmy ich w grupach zawsze po kilku razem. Są to po największej części młodzi ludzie, akademicy lub uczniowie kończący gimnazyum, nie brak jednak między nimi także urzędników, nauczycieli i kupców, którzy korzystając czy z wakacyj czy z urlopu wybierają się w dalszą podróż, aby umysł swój rozerwać i nowemi spostrzeżeniami wzbogacić. W Szwajcaryi od niejakiego czasu weszło w zwyczaj, iż za nadejściem wakacyj odbywają uczniowie całych klas pod przewodnictwem nauczycieli wycieczki z jednego kantonu do drugiego, częścią pieszo, częścią zaś koleją żelazną, i tym sposobem tanim kosztem i praktycznie obznajamiają się z pięknościami swej ojczyzny. Przykłady takie dane ze strony Niemców i Szwajcarów powinnyby nas zachęcić do wstąpienia w ich ślady— niechaj tylko ktoś weźmie inicyatywę na siebie, a ręczyć możemy, iż liczba naszych turystów chciwych wrażeń z widoków przyrody coraz bardziej wzrastać będzie.

Tak z Krakowa i Lwowa, jak z Poznania lub Warszawy obrócić się trzeba na Bogumin *(Oderberg)*, zkąd prowadzi kolej Koszycko-Bogumińska *(Kaschau-Oderberger-Bahn)* dalej w góry. Chcąc przypatrzeć się za dnia prześlicznym okolicom, które kolej ta przerzyna, należy wyjechać z Kra-

kowa pierwszym pociągiem osobowym, odchodzącym o godzinie 6 rano. W Boguminie (przyjazd o godzinie 10 minut 39) jest przystanek półgodzinny i tutaj kupuje się bilet do Mikulasza (Liptó-Szent-Miklós); druga klasa kosztuje 6 złr. 75 c., trzecia zaś 4 złr. 51 c. bez dodatku ażya, które corocznie podlega zmianom. Ponieważ kolej Koszycko-Bogumińska posiada także wagony czwartej klasy używane przeważnie przez chłopów, żydów, robotników i t. p., przeto osobom niewybrednym, a zmuszonym liczyć się z kosztami podróży można śmiało polecić trzecią klasę.

Do stacyi Ruttek lub Ruttka, gdzie jest odnoga kolei północno-wschodniej prowadzącej do Pesztu, przybywa pociąg o godzinie 4 po południu i stoi tu całą godzinę; można więc bezpiecznie zjeść obiad w restauracyi kolejowej. Potrawy są smacznie przyrządzone a ceny umiarkowane: piwo wyborne cieszyńskie, wina węgierskie czerwone i białe.

Przyjazd do Mikulasza następuje już zmierzchem o godz. 7 m. 57 wieczór. Tak do pociągu wieczornego jak rannego przyjeżdża zawsze pojazd z hotelu „zum schwarzen Adler“ i zabiera ze sobą przybyłych podróżnych; wystarczy więc tylko zawołać: „zum schwarzen Adler“, a natychmiast zjawi się furman po odbiór rzeczy. Taksa za od-

wiezienie do hotelu odległego o ćwierć godziny z dworca kolei wynosi we dnie 30 c., wieczór 40 c. Za porządnie urządzony pokój z jednem łóżkiem płaci się na dobę 1 złr., z 2 łóżkami $1^1/_2$ złr.; obecnie znajduje się przeszło 20 pokoi gościnnych, które jednak czasem wszystkie są zajęte, jeżeli naraz wielka liczba obcych przybędzie. W takim wypadku najlepiej udać się o poradę do uprzejmego dzierżawcy hotelu p. Weisera, który wystara się tymczasem o inne umieszczenie. W chwili, kiedy to piszemy, nie możemy się na tutejszą kuchnię uskarżać, gdyż jest ona jak we wielu miejscowościach w Węgrzech smaczna i tania. Nie można jednak przewidzieć, czy stosunki te przy coraz większym napływie podróżnych na przyszłość się nie zmienią; życzyćby należało, aby następcy obecnego dzierżawcy w dobrze zrozumianym interesie za jego przykładem poszli a wygórowanemi cenami nie odstraszali turystów.

Co się tyczy wycieczek w okolicę można mieć na zawołanie furmankę, lekką górską bryczkę, należy ją tylko poprzednio przez p. Weisera zamówić. Za cały dzień płaci się za furmankę 5 złr., za pół dnia 3 złr. Kto w dolinie Demanowskiej zechce zwiedzić wszystkie cztery przez nas opisane groty, musi wziąć furmankę na cały dzień i wyjechać zrana około godziny 9. Zadawal-

niający się zaś zwiedzeniem samej tylko Czierney holi może wyjechać po objedzie około godziny 2 a z powrotem będzie ze zmierzchem o godzinie 8. Ponieważ na miejscu przy grotach żadnej żywności nie dostanie, przeto w potrzebny prowiant należy się zaopatrzeć w Mikulaszu, co najlepiej w restauracyi uskutecznić można; dla wybierających się do grot na cały dzień radzimy zamówić prowiant dzień naprzód. Ważną rzeczą są pochodnie, o których nie trzeba zapomnieć; można ich nabyć u mydlarza w Mikulaszu po 45 c. za sztukę (w r. 1875 były jeszcze po 40 c., teraz zaś podrożały); wspominał nam jednak p. Weiser, że na przyszły rok postara się o to, aby pochodnie były u niego samego po taniej cenie do nabycia. Przewodnikowi płaci się za oprowadzenie po Czierney holi 10 c. od osoby, do dalszych grot stosunkowo więcej, gdyż odległość jest znaczniejszą; zresztą żadnej innej taksy wstępnego niema.

Nie wyjdzie źle na tem, kto w Mikulaszu kilka dni zabawi i z całą okolicą się obezna. Nęci do tego nietylko rozkoszna dolina Wagu z rozrzuconemi malowniczo wioskami, lecz także pobliskie szczyty Południcy, Palki, Wielkiego i Szerokiego Wierchu. Zachodzi tylko niejaka trudność o przewodnika, gdyż przewodnictwo dla braku turystów jest tutaj jeszcze zupełnie nierozwinięte; w tym

względzie jednak sądzimy, iż p. Weiser odznaczający się uprzejmością i uczynnością nie odmówi turystom swej porady i pośrednictwa w uzyskaniu przewodnika.

Z Mikulasza najlepiej wyjechać rannym pociągiem przed 5 godziną, gdyż rozchodzi się o śliczny widok na Tatry przy porannem oświetleniu słonecznem, który dla jadących wieczornym pociągiem oczywiście w ciemności nocy ginie. Wczesne wstanie wynagrodzi się sowicie uroczym krajobrazem górskim, który nazawsze w pamięci przejeżdżającego zostanie. Dla dokładnego widoku należy siąść w wagonie (jeżeli jest miejsce wolne) po lewej stronie, obróciwszy się przodem ku lokomotywie, a po prawej, jeżeli siedzący zwrócony jest ku lokomotywie tyłem. Na dworcu kolei w Mikulaszu pije się kawę. Do Popradu przybywa pociąg o godzinie 7 minut 53. Zawczasu zastrzedz się musimy przeciwko zarzutowi stronniczości, jakiby nas mógł dotknąć z powodu obszernego opisu hotelu Bräuhausgarten. Podając opis ten do druku nie mieliśmy nigdy na myśli poniżyć przezto drugie dwa hotele, które także są porządnie urządzone — przeciwnie, naszym zamiarem było, odwrócić prąd podróżnych od Szmeksu a skierować go na Poprad, dla przyczyn, któreśmy już dokładniej w samym opisie podali.

Że zaś hotel Bräuhausgarten odpowiada wszelkim wymogom stawianym ze strony publiczności, przeto nie wahaliśmy się położyć go na pierwszym planie.

Ceny objadów są prawie takiesame jak w Mikulaszu, ale potrawy bardzo smacznie, prawdziwie po gospodarsku przyrządzone; wina węgierskie czerwone i białe wyborne, można je także pić z przymięszaniem wody szczawiowej, która nic nie kosztuje. Lubowników piwa ostrzegamy przed pijaniem go w Popradzie, gdyż wyrabiane w miejscowym browarze jest ciemnego koloru, mętne, niesmaczne a tak mocne, iż odrazu do głowy uderza. Nawet wielu Niemców (jak wiadomo prawie wszyscy są tęgimi piwoszami i mogą tego napoju dużo znieść) opuszcza tu swój ulubiony kufel a bierze się do szklaneczki wina.

Ceny pokoi podaliśmy już w opisie; są one tak niskie, iż na nie z pewnością nikt nie będzie się uskarżał. W razie zajęcia wszystkich pokoi przez podróżnych postara się uczynny gospodarz o jakiś kącik, gdzie tymczasowo jedną noc przebyć można. Taryfa cen wina i furmanek przybitą jest na piętrze przy wchodzie do sali bilardowej; furmankę można mieć na zawołanie udawszy się tylko po to do gospodarza p. Husza. Są tu dwie kategorye furmanek, jedne zwykłe lekkie bryczki,

drugie zaś porządne pojazdy fijakierskie po stosunkowo wyższej cenie; te ostatnie używane po największej części przez płeć piękną i osoby starsze lub słabowite.

Wycieczka do lodowej jaskini Dobszyńskiej wymaga całego dnia, gdyż odległość wynosi z Popradu 32 kilometrów; wybierając się między 8 a 9 godziną rano można wygodnie wrócić wieczorem napowrót do Popradu. Objadu dostanie podróżny w szwajcarskim domu zajezdnym poniżej jaskini, ale należy go zaraz po przybyciu tamże zamówić; nie zawadzi jednak wziąć ze sobą z Popradu trochę żywności na śniadanie lub podwieczorek, niemniej wina, gdyż wszystko to, choć po drodze się znajdzie, będzie jednak liche a drogie. Za bryczkę porządną na trzy osoby płaci się 6 złr., za fijakra zaś 8 złr.

Za jazdę do miasta Dobszyny liczą furmani 12 złr. czyli 2 dni (licząc w to powrót) po 6 złr. Jestto zdaniem naszem cena zbyt wysoka, gdyż miasto odległe jest od groty o $2^1/_2$ godziny jazdy, furman więc popasawszy konie w Dobszynie śmiało jeszcze tegosamego dnia w Popradzie z powrotem stanie. Nie zaszkodzi więc potargować się z furmanem, który niezawodnie na cenę 8 do 10 złr. przystanie. W Dobszynie jest tylko jedna jaka taka restauracya *„zum Kaffeehaus“*, ale po-

nieważ miasteczko nie przedstawia nic osobliwszego a znajdujące się w pobliżu sztolnie mogą chyba tylko górników lub geologów zainteresować, przeto najlepiej ztąd zaraz na drugi dzień koleją Gömörską wyjechać. Ponieważ kolej ta tylko raz na dzień o godzinie 4 zrana odchodzi, zatem trzeba wczas się zebrać, aby pociągu nie minąć, w przeciwnym bowiem razie nastąpiłaby strata 24 godzin.

Kto zamierza zwiedzić grotę w Agtelek, może to uczynić albo z miasteczka Pölsecz, stacyi kolei Gömörskiej, albo też z Tornallyi. Z Pölsecz jest wprawdzie droga o $^1/_2$ godziny krótsza, ale też zato gorsza niż z Tornallyi. Furmanka do Agtelek na cały dzień kosztuje z Tornallyi 5 złr. Najlepiej wybrać się ztąd we większem towarzystwie, w ostatecznym zaś razie wziąć kogo z tutejszych mieszkańców, któryby umiał po węgiersku i po niemiecku i tym sposobem mógł wyświadczyć przysługę tłumacza. Przewodnikowi płaci się za oprowadzenie w starej jaskini 1 złr. 50 c., za wstępne 40 c.; pochodni dostanie u niego po 1 złr. za sztukę, bengalskie zaś ognie lub drut magnezyowy należy przywieść ze sobą. Zapasu żywności dostarczy właściciel zajazdu, co do napoi zaś dobrze na tem wyjdzie, kto z Popradu przywiezie ze sobą wybornego Erlauera, gdyż w całéj tu-

tejszej okolicy mają tylko zwykły gatunek wina t. z. *Landwein*.

Wyjazd z Tornallyi może nastąpić na drugi dzień zrana o godzinie 8 w dalszą drogę ku Miskolczowi, ztąd zaś do Koszyc i napowrót do domu koleją Koszycko-Bogumińską lub świeżo otwartą Tarnowsko-Leluchowską, albo też przez Legenye-Mihályi koleją Przemysko-Łupkowską (1. węgiersko-galicyjską); w takim jednak razie trzeba w Miskolczu przenocować (porządny hotel i dobra restauracya Stadt Pest).

Poprzestajemy na kilku ważniejszych wskazówkach, podając je na tem miejscu dla osób, które zachęcone naszym przykładem te urocze okolice zwiedzić zechcą. O wszelkich dokładniejszych szczegółach podróżny na miejscu dokładnie dowiedzieć się może.

TREŚĆ.

Mikulasz (Liptó-Szent-Miklós) 2
Jaskinie Demanowskie: Czierna hola, Okno, Benikowa, Vodi Vivjerania 7
Okolice Mikulusza: Wielki Bobrowiec, Św. Jan 24
Ogólny pogląd na ludność słowacką . . . 35
Poprad 43
Hotel „Bräuhausgarten“ w Popradzie . . . 51
Okolice Popradu 59
Droga do Dobszyńskiej jaskini lodowej . . 63
Dobszyńska jaskinia lodowa 68
Miasteczko Dobszyna 84
Jaskinia w Agtelek (Paradlo) 89
Dodatek. Krótki przewodnik 97

DB
669
M85

Müldner, Henryk
Szkice z podrozy po Slowacyi

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 14 28 25 02 009 7